Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Biblioteki Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 21.VI 1968

Dziś w numerze: W świecie hormonów • Światełka apokalipsy • Piękny dzień • Wyróżnienia i nagrody dla łódzkich filmowców • Kryminał • Felietony • Recenzje

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

25 (555)
23. VI. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

Z TEKI ŁÓDZKIEGO TOWARZYSTWA FOTOGRAFICZNEGO

Fot. K. Janaszewski

Dwa dni z partyzantami AL-FATAH

AKCJA ZBROJNA ARABSKICH PARTYZANTÓW Z AL-FATAH, KTÓRA SZEROKO ROZWIJA SIĘ NA ZIEMIACH OKUPOWANYCH PRZEZ IZRAEL, WCIĄŻ PRZYBIERA NA SILE. TAKTYKĘ I METODY WALKI PARTYZANTÓW OPISUJE KORESPONDENT KAIRSKIEJ GAZETY „AL-MUSSAWAR", SAID ZAGLIUL FUAD, KTÓRY WRAZ Z NIMI BRAŁ UDZIAŁ W DWÓCH AKCJACH BOJOWYCH NA TYŁACH WOJSK IZRAELSKICH.

* * *

W jednej z tajemnych baz partyzanckich AL-FATAH trwają przygotowania do kolejnej akcji bojowej na tyłach wroga. Otoczywszy ciasnym kołem dowódcę oddziału, Abu Rafaata, partyzanci z uwagą słuchają szczegółowych rozkazów. Wnet cały obóz, z wyjątkiem wartowników przyczajonych w szczelinach poszarpanych skał, przygotowuje się do wymarszu. Wszystko odbywa się szybko, sprawnie i bez najmniejszego hałasu. W niecałe pół godziny oddział jest gotów do opuszczenia obozu. Partyzanci są uzbrojeni w pistolety automatyczne, karabiny maszynowe, granaty ręczne i miny. Biorą ze sobą pożywienie, wodę i medykamenty. Oddział jest nieduży, liczy zaledwie 13 ludzi, ale w przygotowaniu ich do wykonania zadania bojowego wzięła udział cała baza. Tak jest zawsze.

Tuż przed zachodem słońca grupa opuszcza obóz. Idziemy w następującym porządku: sześciu ludzi stanowi szpicę i jest pieścią uderzeniowo-szturmową, siedmiu — w nieustannej gotowości bojowej — postępuje w pewnej odległości za nimi; stanowią osłonę tyłów. Rozciągnięci w długi łańcuch, podążamy ostrym marszem przez szczyty i skaliste zbocza, omijając przepaście i rozpadliny górskie. Cały oddział w pełnej gotowości bojowej, gdyż za każdą skałą może się czaić śmiertelne niebezpieczeństwo. Po paru godzinach skalisty łańcuch górski mamy już za sobą i schodzimy na równinę.

Dalszy ciąg na str. 5

TADEUSZ SZEWERA

„Hej partyzanci majora HUBALI"*)

W dniach 25 i 26 maja br. obradowało w Końskich ogólnopolskie Seminarium Historyczne ZBoWiD, poświęcone działaniom zbrojnym polskiego ruchu oporu w latach 1939-1945 na terenach północno-zachodniej Kielecczyzny i Włoszczowskiego. Między innymi sporo miejsca przeznaczono na omówienie walki pierwszego oddziału partyzanckiego w okupowanym kraju — Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego pod dowództwem majora Hubala — Henryka Dobrzańskiego. Wypowiadali się na ten temat: dr Bogdan Hillebrandt z Zakładu Historii Partii przy KC PZPR, gen. bryg. prof. Stanisław Okęcki, członek Komitetu Redakcyjnego „Wojskowego Przeglądu Historycznego", dr Ryszard Nazarewicz, sekretarz Głównej Komisji Historycznej ZBoWiD oraz były adiutant majora Hubala — Henryk Ossowski „Dołęga", Henryka Sadowska i Leokadia Zajączkowska z byłej Wojskowej Służby Kobiet ZWZ-AK, Jerzy Piwowarek „Jureczek" z oddziału GL „Narbutta" i Antoni Wodniak, były członek konspiracyjnej PPR. Fakty zawarte w wypowiedziach tych osób oraz w publikacjach dr Bogdana Hillebrandta „Partyzantka na Kielecczyźnie 1939-1945", Marka Szymańskiego-Sępa „Szlakiem oddziału Hubala" i Piotra Sieranta „Szalony major", posłużyły autorowi przy opracowaniu niniejszego szkicu. (T. Sz.)

★

25 czerwca 1940 roku w jednej z leśniczówek pomiędzy Tomaszowem Mazowieckim a Spałą odbywała się ostatnia zbiórka partyzantów majora Hubala. Było ich już tylko czterdziestu dwóch, wiernych do końca przysiędze danej swemu poległemu dowódcy. Po dziewięciu miesiącach partyzanckiej wojaczki mieli podjąć decyzję o ostatecznym rozwiązaniu oddziału.

Kiedy dwa miesiące temu, na początku maja, przybył do nich z Krakowskiego Okręgu ZWZ rotmistrz pseudo „Spychalski" z taką właśnie propozycją, nie posłuchali. Kręcili się wówczas po włoszczowskich lasach i nękali Niemców z nadzieją na rychłe zakończenie wojny. Ale 22 czerwca Francja podpisała kapitulację i walcząca przy jej boku armia polska, miast ku granicom ojczyzny, poszła na daleką, po obcych ziemiach, tułaczkę żołnierską. Słowa — „im słoneczko wyżej, tym Sikorski bliżej" — traciły swój sens. Ogniwa organizacyjne Związku Walki Zbrojnej otrzymały zalecenia zejścia do głębokiej konspiracji. Zadania, określone przez Służbę Zwycięstwa Polsce — pierwszą tajną organizację wojskową powstałą 27 września 1939 roku, której Hubalczycy podlegali w pierwszym okresie, że „trzeba podjąć zdecydowaną i nieustępliwą walkę z najeźdźcą... oraz prowadzić ją wszelkimi środkami do czasu wyzwolenia Polski..." były w tej sytuacji nie do wykonania. Więc zakopali broń, ukryli dokumenty oddziału, zdjęli mundury. Rozpoczynali drugi etap walki z wrogiem w konspiracji, do której wchodzili bogatsi o doświadczenia partyzanckie i przepojeni ideą walki „do ostatniej kropli krwi", zaszczepioną im przez niezapomnianego dowódcę — legendarnego Hubala.

30 września 1939 roku zaczynali partyzantkę w siedemdziesięciu. Tylu ich pozostało z oddziału liczącego stu osiemdziesięciu ułanów 110 i 102 pułku, z którymi major Henryk Dobrzański przedzierał się z Puszczy Augustowskiej ku Warszawie. 27 września byli od niej oddaleni już tylko o 18 kilometrów. Ale rankiem 28 września powiedzieli im uciekinierzy, że cały trud przebijania się ku stolicy był daremny. Więc major Dobrzański zmienił marszrutę. Chciał iść ku węgierskiej granicy. Poszło z nim już tylko siedemdziesięciu. 30 września przekroczyli Wisłę i przez Puszczę Kozienicką dotarli do jodłowych lasów Gór Świętokrzyskich. Tam major powiedział ułanom: będziemy bić się w kraju. Kto chce, zostanie. Kto nie, może odejść.

Zostało z nim dziesięciu, po drodze dołączyło jeszcze pięciu: kpt. dypl. Maciej Kalenkiewicz — Kotwicz, kpt. Józef Grabowski — Pomian, por. Marek Szamański — Sęp, por. Feliks Karpiński — Korab, ppor. Modest Iljin — Klin, pchor. Leon Gołko, pchor. Zygmunt Morawski — Bem, plut. Józef Alicki, plut. Romuald Rodziewicz — Roman, plut. Zakrzewski, kpr. Franciszek Głowacz — Lis, kpr. Fronia, st. strz. Marian Kaczorowski — Gruszka, ochotnik Jerzy Szkodziński — Sokół i jedynaczka oddziału, dziewczyna wiejska, Maria Cel — Tereska. Ten nieliczny jeszcze wtedy oddziałek kawalerii, pieczętujący się mianem Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego, założył ośmiodniowy biwak w gajówce Zychy koło Radoszyc w powiecie konieckim. Major Henryk Dobrzański przybrał pseudonim Hubal — rodowy przydomek Dobrzańskich herbu Leliwa — półksiężyc z gwiazdą.

Co wiemy więcej o tym polskim oficerze, który niezłamany wrześniową klęską podjął, samotną jeszcze wtedy, walkę z wrogiem? Sięgnijmy po jego życiorys.

Urodził się w Jaśle, w województwie rzeszowskim, dnia 22 czerwca 1897 roku, z ojca Henryka Hubal-Dobrzańskiego i matki Marii z Lubienieckich. Wyrastał od dzieciństwa w tradycjach patriotycznych, jego pradziad był adiutantem króla Stanisława Augusta, dziad zaś powstańcem 1863 roku. Miał niespełna siedemnaście lat gdy wybuchła I wojna światowa. Ochotnik Henryk Dobrzański trafił do 2 pułku ułanów w II Brygadzie Legionów. Z frontu wrócił odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyżem Walecznych. Munduru nie zdjął. Pozostał w wojsku, chociaż

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Wydarzeniem najwyższej wagi — po Układzie Moskiewskim o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową — jest przyjęcie przez Zgromadzenie Ogólne NZ układu o nieproliferacji. Stały przedstawiciel Polski w ONZ — amb. B. Tomorowicz nazwał układ „dokumentem naprawdę historycznym, jednym z najważniejszych, jakie uchwaliła ONZ w ciągu swego istnienia".

Idea nierozpowszechniania broni jądrowej, mrtująca ludzkość od czasów Hiroszimy i Nagasaki, sformułowana została przed 7 laty przez Irlandię, ale projekt układu jest wynikiem ponad 3-letnich, żmudnych negocjacji ZSRR z USA i 6 lat pracy Komitetu Rozbrojeniowego ONZ, w działalności którego jest duży wkład także Polski. Warto przypomnieć, że w 1960 roku delegacja polska wezwała ONZ do opracowania oficjalnego dokumentu o skutkach wojny nuklearnej. Był to ważki czynnik w przygotowaniu układu.

Projekt układu otrzymał na sesji NZ 95 głosów przy zaledwie 4 przeciwnych oraz przy 21 wstrzymujących się. Jest to więc szerokie poparcie dla idei zahamowania zbrojeń nuklearnych.

Decyzja Zgromadzenia, nawołująca do szybkiego podpisania układu, powitana została na świecie z dużym zadowoleniem jako drugi konkretny krok ku rozbrojeniu. Otwiera ona nie tylko możliwość powstrzymania zbrojeń atomowych, lecz także możliwość międzynarodowego dialogu nad serią dalszych częściowych rozwiązań. „Świat — trafnie pisze londyński „Times" — stał się bardziej bezpiecznym miejscem".

Dlatego bez przesady można powiedzieć, że data 11 czerwca 1968 przejdzie do kronik ONZ jako jedna z najważniejszych.

W ostatnich dniach w dyplomacji polskiej miały miejsce dwa ważne wydarzenia. W Danii gościła delegacja rządowa z premierem Cyrankiewiczem, a w Warszawie przebywał minister spraw zagranicznych ZRA — M. Riad.

Polska i Dania srogo zostały doświadczone przez II wojnę światową. Są więc zainteresowane w takiej polityce europejskiej, która zapewniłaby naszemu kontynentowi trwałe bezpieczeństwo. Prowadzony od dawna dialog zbliża nasze stanowiska. I temu też służyła duńska wizyta premiera Cyrankiewicza.

W toku rozmów wiele uwagi poświęcono również problematyce ekonomicznej, a konkretniej — rozszerzeniu współpracy gospodarczej, która z każdym rokiem rozwija się pomyślniej.

Inne znaczenie mają rozmowy polsko-egipskie. Przed niespełna 16 laty w Egipcie obalono monarchię i kraj wkroczył na drogę śmiałych reform ustrojowych i społecznych, które niekiedy nieprecyzyjnie określa się mianem „arabskiej drogi do socjalizmu". Zmiany w Egipcie wywarły istotny wpływ i na inne kraje arabskie. To właśnie bardzo niepokoi imperializm. W różnorodny sposób próbował on pohamować bieg wydarzeń — dwukrotnie: w 1956 roku i 1967 odwołując się do agresji. Szczególnie niebezpieczna — o złożonych następstwach, nie zlikwidowanych do dziś — była ubiegłoroczna agresja Izraela. Wtedy też po raz drugi w tak wyraźnej formie Egipt mógł się przekonać, gdzie są jego prawdziwi przyjaciele. Pomoc krajów socjalistycznych spowodowała powstrzymanie agresji i złagodzenie jej skutków. Ma w tym swój udział także Polska. Rozmowy min. Riada w Warszawie były więc rozmowami z wypróbowanymi przyjaciółmi.

W wywiadzie, jakiego gość udzielił „Trybunie Ludu", podkreślił m. in.:

„Polacy wiedzą, co to jest walka o wolność, walka o byt narodowy, walka przeciw agresji. Mają własne doświadczenia tego, co my teraz doświadczamy. Może dlatego znaleźliśmy tu, w Polsce tak wiele zrozumienia dla naszej sprawy".

W tym wywiadzie min. Riad omówił także możliwości politycznego rozwiązania konfliktu bliskowschodniego, podkreślając, że droga do celu prowadzi przez realizację rezolucji Rady Bezpieczeństwa, czego nie respektuje rząd Izraela. Paraliżuje to również mediacyjne wysiłki specjalnego wysłannika ONZ — amb. Jarringa.

Z zadowoleniem przyjmujemy słowa min. Riada o odbudowie, dzięki pomocy ZSRR, egipskiej siły obronnej. „Wiemy — powiedział on — że jesteśmy w stanie obronić się dzisiaj przed jakąkolwiek przyszłą agresją".

Warszawskie rozmowy potwierdziły zgodność poglądów obu krajów na sytuację na Bliskim Wschodzie oraz w niektórych innych problemach międzynarodowych.

A teraz — zgodnie z zapowiedzią z ub. tygodnia — powróćmy do Francji. Z każdym dniem nabiera rozmachu kampania przedwyborcza. O 487 mandatów, w tym 470 w metropolii, ubiegać się będzie w dwóch turach ponad 2.300 kandydatów.

Nawiązując do wydarzeń, które zdecydowały o rozpisaniu wyborów, a szczególnie ich pierwszej fazy, sekretarz generalny FPK, Waldeck Rochet powiedział:

„FPK jest partią porządku i rozwagi politycznej, odwołującą się do świadomej dyscypliny robotniczej... Odrzucamy czarny sztandar anarchii. Podejmujemy zarówno trójkolorowy sztandar narodowy, jak i czerwony sztandar socjalizmu".

Komuniści francuscy dążyć będą w wyborach do utworzenia rządu Frontu Ludowego.

Nowym elementem sytuacji politycznej we Francji ostatnich dni jest aktywizacja sił skrajnie prawicowych. Powrócił do kraju Bideault, a także Lacheroy, który przed 7 laty skazany został na karę śmierci za udział w ruchu antygaullistowskim. Zawieszono odbywanie kary wsławionemu działalnością OAS — gen. Salanowi.

Bideault utworzył „Ruch na rzecz sprawiedliwości i wolności", który jest otwarty dla wszystkich — jak głosi komunikat jego sekretariatu — z wyjątkiem „bezwarunkowo popierających władze oraz zwolenników rządów totalitarnych".

Czyżby skrajna prawica wietrzyła dla siebie wyborczą szansę?

W. SŁAWSKI

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

W tym roku doroczna wystawa prac studentów łódzkiej PWSSP odbędzie się dopiero jesienią. Póki co jednak, warto zasygnalizować pokaz najmłodszych łódzkich plastyków — uczniów Liceum Sztuk Plastycznych. Warto na marginesie tej bardzo barwnej i różnorodnej ekspozycji wspomnieć, że obecnie LSP realizuje już nowy program nauczania ukierunkowany na tzw. uzawodowienie absolwentów. Samo określenie może nie jest najpiękniejsze, ale treści zawiera ważkie. Oczywiste, że szkoła średnia nie powinna i nie może kształcić artystów — jej rola i zadanie to dostarczyć miastu fachowych dekoratorów. Zwłaszcza, że w tej dziedzinie od lat panoszy się zła amatorszczyzna. Wystawa w LSP jest ciekawa, różnorodna, pełna interesujących pomysłów i rozwiązań. Oby takie były wystawy handlowe.

WTOREK

Mężowie uczeni w piśmie wiedzą, że Arlekin to postać trefnisia, pajaca, żartownisia z włoskich commedia dell'arte, kochanek Colombiny... stop. „Arlekin" to przecież łódzki teatr lalek, wychowawca dziecięcej widowni. Więc nie o kochanku Colombiny mówmy, tylko o sukcesie łódzkiego teatru w Colwyn Bay w Anglii, gdzie wystąpił „Zajączek sprawiedliwy" oraz lalki w ludowych strojach. Nasz łódzki „Arlekin" więcej niż z Italią, ma wspólnego z Oskarem Kolbergiem, którego teksty śpiewa, z Adolfem Dygasińskim, którego opowiadanie wziął za kanwę pantomimy, a najwięcej z Henrykiem Rylem, który teatrowi przewodzi od lat. Ostatnio wprowadzono na scenę tzw. lalki witrażowe — kolorowe cienie rodem z japońskich teatrów. Wrażenie jest naprawdę bajkowe, i nic dziwnego, że wybrednym Anglikom — mówiąc prosto — oko zbielało.

ŚRODA

„Dwieście pięćdziesiąt po raz pierwszy, dwieście pięćdziesiąt po raz drugi..." — młotek kierującego aukcją opadnie na stół. Długo czekaliśmy na kolejną łódzką aukcję obrazów i grafik — doczekaliśmy się — trwają ostatnie przygotowania i dziś obejrzałem sobie wystawione prace. Sporo ich — królują obrazy Liberskiego i grafika Rózgi. Same rarytasy, właściwie za pół darmo — obrazy 500 zł, grafika 250. Jeśli spojrzeć do prawa autorskiego, zobaczymy, że odpowiednie ceny urastają tam do tysięcy złotych. Oczywiście będzie podbijanie cen — normalne prawo aukcji, ale i cel jest zbożny. Każdy uderzony po kieszeni przez konkurenta, będzie wiedział, że forsa idzie na budowę Centrum Zdrowia Dziecka.

CZWARTEK

Wśród różnego rodzaju Dni, najsympatyczniejsze są te regionalne — powiatowo - prowincjonalne. Mniej w nich zawsze pompy, więcej szczerego umiłowania swojego miejsca na ziemi. Tak też i było w Dni Sieradza, gdzie na ścianach Muzeum „zagrały" zielone, modre i bordowe wstęgi barwionego lnu, gdzie zakwitły wycinanki — piękne, kolorowe — wcale nie ustępujące rozsławionym łowickim. Ponad 40 ludowych twórców sieradzkiego regionu nadesłało na konkurs ponad 400 prac. Były tam bukiety bibułkowych kwiatów, koronki, lichtarze kute w surowym metalu, była ludowa ceramika... Były wreszcie nagrody aż samego Ministerstwa Kultury i Sztuki, dla tych, co ocalają od zapomnienia barwy i kształty minionych lat. W epoce światłodruku — tysiecy „Słoneczników" Van Gogha (który w końcu też był chyba twórcą ludowym) — w epoce powielanych dzieł sztuki, autentyczna, wciąż żywa twórczość artystów z Zaleśia, Burzenina, Monic, Wróblewa — nabiera walorów sztuki prawdziwej.

PIĄTEK

Koniec świata znów nas zawiódł — prof. Kordylewski autorytatywnie oświadczył, że nie ma strachu, planetoida krzywdy nam nie zrobi. Możemy więc spokojnie pomyśleć o przyszłości narodu. Egzaminy na wyższe uczelnie już się rozpoczynają. Na medycynę po staremu tłok — 4 kandydatów na jedno miejsce, gdzie indziej nie lepiej — koniec świata młodzieży nie przeraził. I to dobrze. W Łodzi intensywnie rozbudowuje się baze dla wyższych uczelni — niedawno wydział biologii otrzymał nowy, wielki gmach, trwa rozbudowa zakładów naukowych Politechniki, w lipcu gotowy będzie nowy akademik na 320 miejsc, również na osiedlu im. Lumumby buduje się stołówkę-gigant, o tzw. przepustowości 2.200 osób dziennie. Czyli będzie gdzie mieszkać, uczyć się i pożywiać. Planetoida -Ikar, która tak napędziła strachu amerykańskim astronomom, odwiedzi nas dopiero za parę tysięcy lat — do tego czasu możemy jeszcze trochę pożyć i popracować.

SOBOTA

A więc nie tylko dach nad sopocką Operą Leśną będzie rodem z Łodzi. Widownia telewizyjna wybrała dziś Wiesławę Śnieżankę z Łodzi, najlepszą piosenkarką programu „Proszę dzwonić" — tym samym otwierając i jej drogę na sopocką estradę. Nie znam się na wokalistyce, ale nawet jak na moje drewniane ucho, ta dziewczyna ma po prostu pojęcie o śpiewaniu. Że ma talent? Na pewno, ale samym talentem nikt jeszcze świata nie zawojował. Więc pozwolę sobie powiedzieć tym wszystkim, którzy o estradzie marzą, „bo to łatwe i podobne", że uczyć się trzeba. Właśnie tak jak Śnieżanka, w łódzkim Liceum Muzycznym. Niech stąd drogi prowadzą na estrady, a nie z imienin cioci, gdzie wszyscy się zachwycają, bo co im to szkodzi. Piszę o tym, bo mam przed sobą komunikat o zapisach do łódzkiej Szkoły Muzycznej (tel. 265-01), w którym czytam, że i nauka dla zdolnej młodzieży jest bezpłatna i instrumenty szkoła wypożycza nawet do domu. Trzeba tylko chcieć. A nauka gry na waltorni czy puzonie, nikomu nie zaszkodzi, jeśli ma głos i chce być piosenkarzem. Bo muzyka jest jedna i nuty te same, a kultura muzyczna na estradzie konieczna.

NIEDZIELA

Dziesięć lat, ściślej — dziesięć wiosen. Poetyckich, rzecz prosta. Sporo mamy poetyckich pór roku od Pikutkowa po stolice, ale która wytrzymała taką próbę czasu? To właśnie Łódzka Wiosna Poetów organizowana przez Stowarzyszenie PAX trwa nieustannie od lat dziesięciu. Plonem tej nieustającej pory roku — co najmniej kilkanaście książek, tomików i almanachów. Tu, na łódzkim bruku, objawiały się nazwiska poetów dziś już znaczących — Bordowicza, Stanclika, Górzańskiego... A w ostatnią niedzielę? Znów nowe nazwisko, może znane za lat parę. Franciszek Brataniec — warto zapamiętać laureata, bo Łódzka Wiosna Poetów ma raczej szczęśliwe trafienia. Nagrodzono też łodzian — Głutha, Bierezina, Świegockiego. Jak jubileusz to jubileusz — Zygmunt Lichniak przygotował nawet stosowny referat, nieodzowny na gałówce. Skoro jednak wiosna, pachną jaśminy i poeci stroją długopisy — zostawmy referaty i poczytajmy czasem wiersze, bo tomiki wychodzą w coraz mniej szych nakładach.

JERZY WIDOK

LISTY do REDAKCJI

TEATR — JAKI JEST

Ostatnio na łamach „Odgłosów" (nr 21, z dn. 26. V. 68 r.) wreszcie — od dłuższego czasu nieobecne — znalazło się nazwisko pana Stanisława Kaszyńskiego, znakomitego znawcy literatury i teatru. Pan Stanisław Kaszyński wypowiada się o sprawie wszystkim nam bliskiej, o sprawie repertuaru teatrów. Z dużym zaciekawieniem czytaliśmy wypowiedź, której tytuł brzmi proroczo i szlachetnie „Teatr jaki mógłby być". Znając pióro pana St. Kaszyńskiego spodziewaliśmy się znakomitego, błyskotliwego, pełnego troski artykułu, artykułu bulwersującego in plus, pobudzającego do refleksji i ostrych polemik, polemik budujących, twórczych. Tymczasem pozostało po przeczytaniu rozgoryczenie i oburzenie, niesłusznym sądem, krzywdzącą ironią, niesprawiedliwym i niepotrzebnie napastliwym tonem.

„Teatr Powszechny — pisze pan Stanisław Kaszyński — przygotowuje dzieło pt. „Kawior i kaszanka". Wyobrażam sobie, jak ludzie będą „walić" na te przysmaki. Maluczko, a dojdzie do tego, iż treść afiszów teatralnych będzie się pokrywała z treścią reklam branży garmażeryjnej".

Jeżeli ten fragment artykułu miał być dowcipem — to autorowi w tym miejscu zabrakło koncepcji; jeżeli ten fragment artykułu miał być złośliwością — to smutne, bo czym zasłużyliśmy sobie na tyle żółci autora? „Nocą spowiedzi", „Bereziakami", „Baba-Dziwo", czy wreszcie komedią „Kawior i kaszanka", jeżeli ten fragment artykułu miał być zarzutem — to dlaczego autor nie przeczytał najpierw sztuki? Maluczko, a dojdzie do tego, że pisać się będzie o teatrze nie znając treści sztuk, a oceniając je wg tytułów. Jakby takie recenzje wyglądały — pofantazjujmy: „Noc spowiedzi", to sztuka sakralna, „Skowronek" — dramat ornitologiczny, „Pies ogrodnika" — komedia kynologiczna, i dalej krytyka literacka miałaby także niewiele do roboty: „Kartofla" — rzecz o posmaku bufetowo-restauracyjnym, „Dziady" — dzieło sceniczne o lumpach itd. itd.

A przecież autor artykułu jest znakomitym znawcą literatury i teatru.

„Proszę spojrzeć — czytamy w artykule St. Kaszyńskiego — np. na repertuar, demonstrowany na VIII Kaliskich Spotkaniach Teatralnych. Aż biją w oczy aspiracje w zainteresowaniach repertuarowych: Teatr Polski z Poznania przyjechał z „Achilleis" St. Wyspiańskiego, Teatr im. Osterwy z Gorzowa pokazuje „Zawiszę Czarnego" J. Słowackiego, Teatr im. Fredry z Gniezna — „Marię Magdalenę" F. Hebbla, wreszcie Teatr Współczesny im. E. Wiercińskiego z Wrocławia — „Różę" St. Żeromskiego, gospodarze natomiast przygotowali „Kordiana". Wiemy, z czym wystąpiły dwa teatry łódzkie: wystąpiły z tym na co nas aktualnie stać".

A stać nas m. in. na „Świętą Joannę" Shawa (nagroda miasta Kalisza). To w Kaliszu. Stać nas było na „Noc spowiedzi", „Bereziaków", „Babę-Dziwo" (vide rec. Jana Kłossowicza w „Polityce" i Wandy Karczewskiej w „Kulturze").

„Czy trzeba aż tak schlebiać — pisze St. Kaszyński — a właściwie czy wolno tanimi chwytami reklamowymi obrażać szeroką publiczność, która nieomal przez trzy lata chodziła na mrożkowe „Tango". Sukces przedstawienia (podkr. moje — K.A.L.) „Tanga", więc nie tylko sukces autora, przekonuje, iż warunkiem powodzenia nie jest bynajmniej obniżenie tonu; byłby to program minimum, urągający i tradycjom łódzkiej Melpomeny i górującym tendencjom w tym zakresie, jakie obserwujemy na scenach działających także na prowincji".

Nie chcemy bronić komedii bulwarowej (zaplanowana na okres kanikuły) pióra znakomitych skądinąd współczesnych włoskich dramaturgów i scenarzystów filmowo-telewizyjnych, Scarnicciego i Tarabusiego, ale po pierwsze nie obrażamy nikogo naszym repertuarem — może tych autorów, których sztuk lub przekładów nie gramy, a po drugie to, co teraz czytamy o sukcesie „Tanga" na naszej scenie, było negowane przez pana St. Kaszyńskiego trzy lata temu. Być może i o „Kawiorze i kaszance" pan St. Kaszyński napisze inaczej po przeczytaniu i obejrzeniu sztuki.

„Marzy mi się — pisze pan St. Kaszyński — choćby jeden zespół przeniknięty do trzewi i spójny rzeczywistym programem artystycznym i społecznym, świadomy swej siły kształtującej i zdolny do szerokiego promieniowania".

Nam marzą się recenzenci i krytycy naszych poczynań przeniknięci rzeczywistą troską o dobro teatru, kochający ten teatr, czujący go aż „do trzewi" samych. Mający poczucie odpowiedzialności za to, co mówią i piszą. Słowem niech działają spójnie ze środowiskiem teatralnym Łodzi.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

* * *

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Po przeczytaniu listu p. Kazimierza A. Lewkowskiego, kierownika literackiego P. Teatru Powszechnego, ogarnęło mnie, muszę Panu wyznać uczucie przygnębienia. Pomyślałem: że też tylko tyle potrafił wyczytać z mego artykułu. Żałuję bardzo, że nie „zbulwersowałem in plus" Pana Kierownika et consortes jeno rozgoryczyłem i oburzyłem. Skrzywdziłem i napadłem. Oczekiwałem wprawdzie wnikliwszej analizy artykułu, lecz sprawa to m. in. pewnej wrażliwości, której nie można się, niestety, nauczyć. Nie deprecjonuje to nikogo, można z tym niedostatkiem żyć, co więcej, można nawet jakoś pracować w sztuce. Nie dziwi przeto, iż Pan Kierownik, odznaczając się, jak widać, szczególniejszymi dyspozycjami intelektualnymi, akceptuje w całej rozciągłości np. ów rewelacyjny tytuł sztuki („Kawior i kaszanka"), który przejdzie niewątpliwie do historii teatru łódzkiego. Nikt mi nie wmówi, aby szanujący siebie i swych widzów teatr, nie wzdragał się przed rozpowszechnianiem podobnych tytułasów. W tej sytuacji wolno i nie czytać takich dzieł. Być może zresztą, że zmienię nieco zdanie na temat owego dzieła, nie zmienię jednakże zdania co do samego tytułu.

Ludzie z lepszą niż Pan Kierownik K. A. Lewkowski pamięcią wiedzą, że nie pisałem aż tak źle o przedstawieniu „Tanga". Nie obraził się za tę recenzję ani reżyser ani wykonawcy, najlepszym dowodem mojego pozytywnego stosunku do spektaklu było zorganizowanie przeze mnie spotkania dyskusyjnego z obsadą „Tanga" w ramach zajęć uniwersyteckich z teatrologii; zechciał przyjść na to spotkanie i Pan Kierownik K. A. Lewkowski.

Pan Kierownik K. A. Lewkowski kocha żarliwie teatr, wierzę w jego miłość, ale kocha go osobliwie, całe szczęście, że nie podzielam jego afektu, wolę już swą trzeźwą miłość. Zazdroszczę natomiast Panu Kierownikowi jednego: niefrasobliwości i pewności siebie, niezachwianego niczym przeświadczenia o wielkości teatru, w którym pracuje. Jest to lojalność piękna, zgoła wzruszająca.

Panu Kierownikowi marzy się wreszcie, aby piszący i mówiący o współczesnym łódzkim teatrze wykazywali się poczuciem odpowiedzialności. Naturalnie, powinni je mieć, lecz wcale to nie znaczy, ażeby za wszelką cenę musieli działać spójnie z miejscowym środowiskiem teatralnym, czyli przekładając to na prozę — pisać wyłącznie pochlebnie. Stanie się tak wówczas, jeśli ludzie współtworzący łódzki teatr będą w tym samym stopniu odznaczać się poczuciem odpowiedzialności. Za to co robią i za to, co piszą.

Zechce Pan, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy poważania.

Pański
STANISŁAW KASZYŃSKI

„Hej party zanci majora HUBALI"

Dalszy ciąg ze str. 1

nie cieszył się specjalną sympatią wyższych oficerów. Był zbyt prawy, zbyt szlachetny i bezinteresowny w służbie dla ojczyzny, by spokojnie patrzyć na szerzące się wówczas w armii karierowiczostwo. Zadziorne wypowiedzi młodego oficera nie mogły przypaść do gustu przełożonym. Dlatego nie awansował, dlatego przerzucano go z miejsca na miejsce. Widzimy go w Grudziądzu, potem w Rzeszowie, w Hrubieszowie, wreszcie w Wilnie i to jedynie jako dowódcę zapasowego szwadronu 4 pułku ułanów. Nie zdobywa zaszczytów w wojsku, zyskuje natomiast sławę świetnego jeźdźca. Bierze udział w wielu międzynarodowych zawodach, reprezentuje Polskę na olimpiadzie, wprawia w zdumienie całą Anglię, zdobyciem w Londynie indywidualnej nagrody dla najlepszego jeźdźca wszystkich narodów. Książę Walii, na ręce gen. Rómmla przekazuje dla majora Dobrzańskiego złotą papierośnicę z napisem: The best individual score of all officers of all nations. Potem był wrzesień 1939 roku. Dobrzański — dowódca szwadronu ułanów 110 pułku stał pod Grodnem wraz z całą Rezerwową Brygadą Kawalerii. Tam też doszło do pierwszych krwawych bojów. Brygada cofała się, wreszcie rozpadła pod ciosami czołgów. Na czele ocalałych szwadronów ze 110 i 102 pułku ruszył major w kierunku Warszawy. Prowadził 180 konnych.

Teraz w gajówce Zychy, w powiecie koneckim jest tylko z piętnastoma najwierniejszymi. Nim tu dotarł, spadł jak jastrząb niespodziewaną szarżą na jednostkę SS, wyciął ją w pień, spalił samochody. Przeszedł wpław Wisłę pod Maciejowicami, zaatakował majątek hrabiego Zamoyskiego, przepędził niemiecką załogę, zarekwirował trzymane tu konie ze stadniny janowskiej i zniknął w gęstwinie Puszczy Kozienickiej. Zrezygnował z marszu na Węgry. Dążył w lasy Świętokrzyskie. A działo się to wszystko gdzieś około 30 września, lub może już 1 października 1939 roku. Tak to major Henryk Dobrzański rozpoczynał swą tułaczą, partyzancką marszrutę.

Dzisiaj po latach popartych badaniami historyków, kiedy dysponujemy pełniejszymi już relacjami i dokumentami, możemy śmiało zaryzykować twierdzenie, że ten rajd partyzancki w Góry Świętokrzyskie nie był przypadkowy. Nie sądzę, by majorowi Dobrzańskiemu chodziło wyłącznie o dotarcie do wielkich kompleksów leśnych, stanowiących doskonałe zaplecze dla tego rodzaju działalności. Mógł przecież z powodzeniem zatrzymać się z oddziałem w Puszczy Kozienickiej, pomaszerować do Kampinosu lub zawrócić w leśne ostępy Augustowskiego. Ale Dobrzański-Hubal najwidoczniej wiedział, że w Górach Świętokrzyskich znajdzie najlepszy, a może już

Mjr Henryk Dobrzański — Hubal. (Zdjęcie wykonane przed 1939 r.)

nawet przygotowany grunt, dla tworzenia szerokiego frontu walki z okupantem. Toteż z miejsca, gdy tylko dotarł do gajówki Zychy, polecił gajowemu Janowi Baranowi ps. „Dąbrowa" nawiązanie kontaktów konspiracyjnych w Końskich i w Radoszycach. Już wtedy w Końskich nauczyciel szkoły podstawowej kpt. Jan Stoiński — Brzoza tworzył pierwsze komórki organizacyjne Służby Zwycięstwa Polsce. Na spotkanie z majorem Hubalem przybywa on w towarzystwie por. Jana Pacaka ps. „Lemiesz" ze wsi Lewoszów i por. Leśkiewicza z Radoszyc. Zapadają decyzje o rozbudowie zaplecza dla oddziału o tworzeniu siatki wywiadu i zaopatrzenia. Ruszają w teren łączniczy — Jadwiga Trędota, Marian Bieńkowski, Stanisław Jakubowski. Krawiec z Radoszyc — Wacław Wilczyński, szyje mundury, Michał Madej z Ruskiego Brodu dostarcza broń, ukryta w lesie po kampanii wrześniowej. Do Kielc podąża por. Karpiński dla nawiązania łączności z tamtejszą konspiracją. Major Dobrzański jedzie do Warszawy, by skontaktować się z komendantem głównym Służby Zwycięstwa Polsce — gen. bryg. Michałem Karaszewicz-Tokarzewskim. Spotkanie jest niezwykle serdeczne. Hubal uzyskuje pełne poparcie dla swych poczynań, otrzymuje pieniądze na żołd dla ułanów partyzantów i zalecenie utworzenia silnego oddziału, który będzie potrzebny na wiosnę. Praca konspiracyjna rusza pełną parą.

Po krótkim pobycie w Zychach oddział przerzuca się w Lasy Spalskie i krąży w pobliżu Stefanowa, Fryszerki oraz leśniczówki Bielawy. Tu dołączają ochotnicy z Opoczna i Piotrkowa: Tadeusz Madej — Nawrocki, Wiktor Maruszewski, Jan Kasprzak, podchorążowie Józef Świda — Lech i Edmund Kuropka — Barbarycz, kpr. Władysław Jura, Henryk Białas — Mściwój i inni. Przybywa pierwsza grupa członków Związku Walki Zbrojnej z Tomaszowa Mazowieckiego: rotmistrz Józef Walicki — Walbach, ppor. Antoni Kubisiak — Leszczyna i plut. Józef Lewandowski — Lech.

Major Hubal ma już trzydziestu ludzi. Biwakują w lesie, nie chcą narażać ludności z okolicznych wiosek. Ale sroga zima coraz mocniej dokucza. Ruszają więc w głąb powiatu opoczyńskiego, najpierw pod Anielin, a w lutym rozbijają obóz we wsi Gałki odległej o 12 kilometrow od Przysuchy. Wokół ciągną się lasy. Drogi zasypane głębokim śniegiem utrudniają dostęp do wioski. Niemcy siedzą cicho, jakby nie wiedzieli o istnieniu Hubalczyków, do których ze wszystkich stron ciągna teraz ochotnicy. Przekradają się z Rudy Malenieckiej, z Gieniowa, Drzewicy, Przysuchy, z Opoczna i znowu z Tomaszowa. Konspiracyjna organizacja ZWZ, działająca w tym miescie, zapisuje sobie chlubną karte w historii Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego. Około stu ochotników melduje się u majora w Gałkach. W większości są to robotnicy z Tomaszowskiej Fabryki Sztucznego Jedwabiu: Jan Sekulak, Adamski, Brajer, Zenon Gorzelak, kpr. Władysław Osiński, Pomsta, Pękala, Zemsta, st. sierż. Bańkowski, plut. Kagankiewicz i wielu innych, których nazwiska lub pseudonimy uleciały ludziom z pamięci. Bez przerwy kursują między Tomaszowem a Gałkami kurierzy i łącznicy: Adam Barczak — Sosna i Mieczysław Lange, którzy zapewniają majorowi stały kontakt z ówczesnym komendantem Obwodu ZWZ w Tomaszowie — Nizwaldem, kierownikiem administracyjnym miejskiego szpitala. Stąd płyną również lekarstwa i środki opatrunkowe dla oddziału. Jadą z Tomaszowa do lasu furmanki z żywnością, skarpetami i rękawicami. Od obwodowego wywiadu ZWZ major otrzymuje codziennie szczegółowe dane o ruchach Niemców.

Tymczasem nad wsią coraz częściej przelatują zwiadowcze Storchy. Wracający z codziennych patroli ułani meldują o pojawieniu się w okolicy niemieckich jednostek Wehrmachtu. Wszyscy czują, że niebawem musi dojść do starcia z wrogiem. Mimo to, na tym wolnym skrawku Rzeczypospolitej, trwa nadal normalne życie. Mijają tygodnie. Oddział liczy już trzystu dwudziestu ludzi. Powstaje regularna jednostka wojskowa. Szefem sztabu zostaje por. „Korab", adiutantem majora Hubala pchor. Henryk Ossowski — „Dołęga", kapelanem ks. Ludwik Mucha, oficerem do zleceń por. Wistenberg — „Tchórzewski", oficerem ordynansowym wachmistrz Rodziewicz — „Roman", kompanią piechoty liczącą dwustu ludzi dowodzi kpt. „Pomian", drużynę cekaemów obejmuje pchor. „Barbarycz", rotm. „Walbach" dowodzi szwadronem kawalerii. Z Warszawy docierają do Gałek łączniczki z Wojskowej Służby Kobiet przy ZWZ — studentki: Genowefa Ruban — Gienia i Ludmila Zero — Ludka. Przywożą ciepłą odzież i mundury. Wydzielony Oddział Wojska Polskiego jest gotów do walki.

I wtedy spada na Hubala cios najmniej oczekiwany. 13 marca przybywa do wsi ówczesny komendant Okręgu Łódzkiego ZWZ płk L. Okulicki — „Miller". Przywozi rozkaz Komendy Głównej ZWZ o demobilizacji oddziału. Dotychczasowe zalecenia KG Służby Zwycięstwa Polsce (organizacja ta została wcielona do Związku Walki Zbrojnej) tracą moc obowiązującą. Odchodzą do konspiracji wyżsi rangą oficerowie, opuszczają wieś ochotnicy. Rozkaz jest rozkazem. Przy majorze Hubalu zostaje znowu tylko siedemdziesięciu. Garstka straceńców przeciw dywizji niemieckiej, która coraz ciaśniejszym pierścieniem otacza lasy.

Po latach mamy prawo znowu twierdzić, że major Hubal przewidywał skutki decyzji KG ZWZ. Demobilizacja nie mogła ujść uwagi Niemców. Zbyt wielu konfidentów kręciło się w terenie. Jeżeli hitlerowcy nie uderzali dotąd na zgrupowanie, to dlatego, że bali się klęski. Ale siedemdziesięcioosobowy oddziałek nie stanowił już tak wielkiej groźby dla uzbrojonej po zęby dywizji.

Hubal jest pewny, że atak nastąpi lada moment i uprzedza Niemców. Przerzuca oddział do wsi Huciska. Niemcy są zdezorientowani, muszą przegrupować siły. Data uderzenia na partyzantów przesuwa się o kilkanaście dni. Ten czas wykorzystuje Hubal, wbrew rozkazom ZWZ, na wzmocnienie oddziału. Przyjmuje ochotników, których jest wielu. Niektórzy przemaszerowali pieszo dziesiątki kilometrów, by zaciągnąć się pod rozkazy legendarnego majora i bić Niemców. Do Hucisk docierają nawet trzej studenci z Łodzi: Józef Drabik, Jerzy Falkowski i Ignacy Sadowski. Przekradli się przez zieloną granicę pomiędzy Koluszkami a Brzezinami i dotarli w końcu do Przysuchy. A tu już ścieżki wiodące do Hubalczyków były proste.

Pod koniec marca jest ich stu dwudziestu. Za mało jednak, by sprostać siłom Niemców. Liczba ta będzie się odtąd gwałtownie zmniejszać w toku ciężkich walk z hitlerowską obławą. 30 marca 1940 roku dochodzi do pierwszego starcia na szosie Chlewiska — Skłoby. Pada siedmiu ułanów i pchor. „Barbarycz". W kilka godzin później toczy się ciężki bój pod Huciskami. Ginie sześciu żołnierzy, są także ranni. Tym razem Niemcy jeszcze cofają się, na polu walki pozostawiają ponad stu zabitych i rannych. Hubal odskakuje do wsi Szałasy. Ale Niemcy nie dają mu odpocząć. 1 kwietnia uderzają zmasowanymi oddziałami Waffen SS, żandarmeria i pułkiem niemieckiej policji. Bitwa trwa cały dzień. Pada dwudziestu Hubalczyków. Major musi zarządzić odwrót. Gdybyż miał tutaj swoje, liczące ponad 300 ludzi, poprzednie szwadrony kawalerii i plutony piechoty, rozniósłby hitlerowców w puch, a tak... pozostaje tylko wyrwanie się z pierścienia. W nocy, wraz z plutonem kawalerii dowodzonym przez wachmistrza Alickiego, szarżą zdobywa szosę Samsonów — Odrowąż i zapada w las. Piechota pod dowództwem por. Marka Szymańskiego — Sępa przebija się przez linie niemieckie pojedynczymi grupkami. Wszyscy dążą do Lasów Spalskich. Ale żelazny pierścień obławy obejmuje i ten obszar. 30 kwietnia świtaniem oddział Wehrmachtu uderza na zagajnik Polska Werówka opodal Anielina. Wszystko odbywa się błyskawicznie, walka jest bardzo krótka. Część ułanów Hubala przedziera się za Pilice, część zostaje w lesie. Nocą wycofują się i oni poza tereny Spały. Na polu bitwy pozostają zabici dwaj partyzanci: kpr. „Ryś" i ułan „Kośka" i ciężko ranny major Hubal — Henryk Dobrzański. Niemieccy żołdacy dobijają go bagnetami.

Czy to już koniec Hubalowej legendy? Jeszcze dwa miesiące krążą po lasach jego wierni ułani, a z nimi „Sęp", „Lech", „Dołęga", „Roman", „Alicki", „Świda", „Lis", „Bem" i „Tereska" — weterani partyzanckiej wojaczki. Lecz 23 czerwca kapitulują. W Lasach Spalskich rozwiązują oddział, odchodzą do konspiracji. W dwa, lub trzy lata później, powrócą do lasów jako żołnierze Armii Krajowej, Gwardii Ludowej i Batalionów Chłopskich. Będą znów walczyć, wierni ideałom swego legendarnego majora. Będą mścić śmierć kolegów i gruzy spalonych polskich wsi.

TADEUSZ SZEWERA

*) Tytuł stanowią pierwsze słowa piosenki oddziału „Hubala", napisanej w 1940 roku we wsi Gałki.

Nożycami przez PRASĘ

KŁOPOTY ZE ZNACZENIEM

Artykuł zaczyna się prawie żartobliwie od przypomnienia dotad obowiazujacego cennika urzedowego dla malarzy-sztalugowców: portret 3.000 zł, portret dwuosobowy — 3.600 zł, portret wieloosobowy — 4.500 zł, kompozycja figuralna — 3.600 zł, pejzaż — 2.400 zł, martwa natura — 1.200 zł...

Stanowi jednak próbe zobrazowania współczesnych kłopotów z malarstwem, kłopotów z jego warstwa znaczeniowa, czyli z semantyka, z faktem, iż współczesne malarstwo nieprzedstawiajace, całkowicie zrezygnowało właśnie ze znaczenia, polujac na ciagle zmieniajace sie mody i konwencje, które artystom na Zachodzie przynoszą, dzięki podbijaniu bebenka przez marszandów, przynajmniej wcale niebiałe korzyści materialne, a u nas? Chyba tylko coraz bardziej pogłebiająca się społeczną izolację twórców.

Autor, gesto powołując się także na innych krytyków plastycznych, staje

„po stronie artystów, którzy chcą mówić swoimi dziełami, a nie tylko sycić oczy, po ich stronie — przeciw smakoszom obrazów bojacym sie zbrukać ideologia, polityka, wszystkim, co nie należy do zawodu malarza i grafika, do „métier...".

Z jakich powodów? Obrazy abstrakcyjne, i to jedynie w wypadku ostro zarysowanych indywidualności twórczych

„odsłaniają wspólnie odczuwalne warstwy świadomości i podświadomości: leku — wstydu — zgrozy — zaskoczenia — euforii. Przypominają zapomniane postacie przedmiotów i zjawisk, które mogą stać się podstawą do marzenia poprzez ukazanie nowych przedmiotów o określonych reminiscencjach fizycznych, a pośrednio i uczuciowych".

W dodatku:

„Rodzaj i jakość treści, które widz odczyta w tych obrazach, zależa całkowicie od przypadku i dlatego praktycznie obrazy te stają się asemantyczne, tracąc w ten sposób jeden z najbardziej istotnych elementów swej autonomicznej struktury. Można je wówczas traktować albo jako twory dekoracyjne (a więc niesamodzielne), albo jako przedmioty o nieokreślonej funkcji, albo wreszcie jako testy pewnych procesów psychicznych twórcy".

Te utwory nie pobudzają do jakichś głębszych przeżyć widza-ogladacza. Niczego nie wyrażają w jakiś bardziej precyzyjny sposób, są jak gdyby bezradne. Można o nich mówić i pisać dowolnie, często uciekając się do belkotu.

Plastyka, która na każdym etapie chce być „nowoczesna". W określeniu tym zawiera się pomyłka.

Jest to w gruncie rzeczy określenie bezsensowne, gdyż w sztuce, w przeciwieństwie do nauki i techniki nie ma ciągłego postępowego rozwoju, w którym wytwory nowsze są lepsze od dawniejszych. Podczas gdy określenie „samochód nowoczesny" jest w pełni uzasadnione, określenie „obraz nowoczesny" jest tylko mylącym symbolem koncepcji, według której artysta musi nieustannie tworzyć coś nowego, lepszego, przystosowanego do rzekomo ciągle nowych wymogów upływającego czasu".

O cóż tedy chodzi? O jakąś nową estetykę normatywną? Ach, w żadnym proszę was, wypadku!

„W tej niezbędnej przemianie stosunku artysty do samej kreacji i do potrzeb społeczeństwa, fundamentalna rola przypada stworzeniu płaszczyzny społecznej sprawdzalności dla warstw znaczeń tworzonych dzieł. Nie chodzi tu o powrót do iluzjonizmu i literackiej anegdoty. Rozwój środków masowego przekazu wizualnego zamknął te możliwość na zawsze. Widzieliśmy zresztą do czego doprowadziły te próby w latach pięćdziesiątych. Chodzi o to, by kreacyjna swoboda w budowaniu konstrukcji barw, kształtów, linii i stosunków przestrzennych w obrazie wzbogacała i potęgowała warstwę znaczeń, a nie doprowadzała jej do zaniku".

I wróćmy do początku czyli do przytoczonego cennika.

„Jest rozczulająco absurdalny, jak zgłoszenie brzeczki konnej do wyścigu samochodowego w Le Mans. Ale jednocześnie jest on wyrazem wcale nie śmiesznej, społecznej tęsknoty: tęsknoty za możliwością stworzenia skali wartości humanistycznych, których oczekujemy od sztuki".

Szkic ukazał się we wrocławskim miesięczniku „Odra". Tytuł: „O pewnym cenniku i kłopotach z semantyka w plastyce". Autor: Alfred Ligocki.

SKANDALÓW CIĄG DALSZY

Złowieszcze słowa Faulknera z przepięknej książki „Wielki las":

„To nic dziwnego, że las, który znałem, las wyniszczony, nie krzyczy o odwet. Ci właśnie ludzie, którzy go zgładzili, sami na sobie dokonają zemsty".

Nie pomagają coraz surowsze represje. Niszczymy przyrodę, zapominając nie tylko o dobrze zrozumianym interesie potomków, ale i własnym. Codziennie zatruwa się rzeki, codziennie dewastuje się drzewostan, zanieczyszcza powietrze. Prasa raz po raz przynosi alarmujące, ba, przerażające wiadomości. Oto, po informacji o rybach w Dunajcu, wiadomość z ostatniego tygodnia, która przytaczamy za „Życiem Warszawy":

„Zamiera zupełnie sosna, a w ślad za nią podąża i jodła. Na setkach hektarów sterczą kikuty drzew. W północno-zachodniej części województwa, a więc w powiatach: chrzanowskim, olkuskim i krakowskim, zagrożonych jest 40 tys. ha lasu, z czego 10 tys. ha to kompletna już ruina. Z samego tylko zahamowania przyrostu masy drzewnej, jak informuje „Dziennik Polski", notuje się rocznie w Ojcowskim Parku Narodowym straty w wysokości 70 mln zł".

Wydaje się, że odpowiedzialność ludzi bezpośrednio winnych to mało. Więcej należy żądać od kierownictwa odpowiednich resortów. Nie chce się bowiem wierzyć, że na te skandale nie ma rady. Przemysł i przyroda są własnością społeczną. Nie wierzymy, że przemysł — przyroda to nieusuwalna, przynajmniej w poważniejszych skutkach, tragiczna antynomia.

BIULETYN PTT-K

Mało kto wie, że okręg łódzki PTT-K (inicjały dość znane!) wydaje co miesiąc pożyteczny biuletyn, poświęcony turystyce, krajoznawstwu, znajomości regionu. Może go otrzymać na żądanie każda instytucja społeczna. Prenumerata roczna wynosi 10 zł. Adres również dość znany: Łódź, ul. Piotrkowska 102 a.

W kwietniowym, opóźnionym numerze m. in. pisza: Jerzy Klamann o akcji „Promienistych" (upamietnia ja tablica przy Piotrkowskiej 83), St. Pietrzak, St. Łukawski, Zdzisław Konicki o „Nocy okupacyjnej na Ziemi Łódzkiej...".

JAN OLECHNO

W świecie HORMONÓW

ROZMOWA Z PROF. DR MED. TADEUSZEM PAWLIKOWSKIM

Ostatnio Łódź gościła wybitnych przedstawicieli polskiej medycyny w związku z VI zjazdem Polskiego Towarzystwa Endokrynologicznego, który odbył się w naszym mieście. Rezultaty badań tej młodej dziedziny wiedzy mają tak wielkie znaczenie w nowoczesnej medycynie, że z pewnością zainteresują wszystkich Czytelników. W problematykę tę wprowadza nas prof. dr med. Tadeusz Pawlikowski, kierownik Katedry Endokrynologii AM w Łodzi.

„ODGŁOSY": Panie Profesorze, zanim przejdziemy do zagadnień bardziej szczegółowych, prosimy o informację, jakie jest miejsce endokrynologii pośród nauk medycznych.

PROF. DR MED. T. PAWLIKOWSKI: To, co stanowi dziś przedmiot badań endokrynologii, jeszcze niedawno leżało w kręgu zainteresowań szeregu nauk medycznych, takich jak interna, pediatria, ginekologia i neurologia. Endokrynologia bowiem, mówiąc najogólniej, jest nauką o wydzielaniu hormonów przez gruczoły do krewne. Wyodrębnienie endokrynologii nastąpiło niedawno, w ostatnich trzydziestu latach. Podyktowane to było koniecznością zastosowania nowych metod badawczych i diagnostycznych, czego nie można byłoby dokonać na gruncie tradycyjnych nauk medycznych.

„ODGŁOSY": Wyodrębnienie, o którym wspomniał Pan Profesor, wpłynęło niewątpliwie na lepsze poznanie funkcji gruczołów dokrewnych. Jakie to miało znaczenie dla lecznictwa?

PROF. DR MED. T. PAWLIKOWSKI: Dzięki endokrynologii poznaliśmy dość dobrze czynność takich gruczołów dokrewnych jak przysadka mózgowa, szyszynka, tarczyca, przytarczyca, wyspy Langerhansa w trzustce i gruczoły płciowe. Niektórzy zaliczają do gruczołów dokrewnych także grasicę. Istnieją wreszcie pewne odcinki mózgu, np. podwzgórze, które trzeba również zaliczyć do gruczołów tego typu.

Jak dalece zostały poznane funkcje tych skomplikowanych narządów, świadczy najlepiej fakt, że potrafimy dziś stosować wydzieliny tych gruczołów jako leki. Tak np. tarczyca wydziela tyroksynę i trójjodotyroninę, przysadka—hormon wzrostu i gonadotropiny, kora nadnercza produkuje szereg ważnych hormonów, choćby aldosteron, kortyzol, zaś część rdzenna nadnercza — adrenalinę i noradrealinę. Wymieniam te hormony, rzecz jasna, tylko przykładowo. Otóż większość hormonów otrzymuje się dziś syntetycznie, przemysł farmaceutyczny opanował ich produkcję. Ma to kolosalne znaczenie praktyczne, ponieważ hormony są substancjami ważnymi dla życia, wpływają pobudzająco lub hamująco na procesy życiowe, pełnią ważną rolę w ich chemicznej regulacji.

„ODGŁOSY": Z tego, co powiedział Pan Profesor o produkcji hormonów na drodze syntezy, można się domyślić, że endokrynolodzy potrafią dziś sterować procesami hormonalnymi w organizmie ludzkim.

PROF. DR MED. T. PAWLIKOWSKI: To sprawa złożona i nie wiem, czy potrafię przedstawić ją w kilku zdaniach, wymagałaby właściwie wykładu. Mówiąc o sterowaniu hormonami trzeba przede wszystkim pamiętać, że w organizmach kręgowców, a więc także u człowieka, wytworzył się układ sterowniczy, który nazywamy sprzężeniem zwrotnym albo też serwomechanizmem. Działanie tego układu sterowniczego możemy zaobserwować choćby na podstawie wydzielania takiego gruczołu jakim jest przysadka mózgowa, której hormony oddziałują na inne gruczoły np. tarczycę itd. w następstwie czego mamy do czynienia z całą hormonalną reakcją łańcuchową. Ten serwomechanizm został dość dobrze poznany, możemy więc wykorzystywać go w lecznictwie, jest to już jednak umiejętność wyższego stopnia właśnie ze względu na reakcje łańcuchowe, o których wspomniałem. Sterując hormonami musimy kierować się szczególną ostrożnością, ponieważ nieumiejętna interwencja może zachwiać równowagę serwomechanizmu, a to już sprawa nieobojętna dla zdrowia a nawet życia człowieka. Oczywiście, często dla przywracania zdrowia włączamy się do tego hormonalnego łańcucha. Weźmy za przykład choćby niedoczynność tarczycy. W organizmie dotkniętym tą chorobą procesy utleniania są zwolnione: w wyniku czego pacjent wolno mówi, wolno się porusza, jest ociężały, w jego tkankach odkłada się śluz. Takiemu pacjentowi podajemy hormon tarczycy. Można osiągnąć na tej drodze dobre rezultaty lecznicze.

„ODGŁOSY": Ten przykład wskazuje na społeczne znaczenie badań endokrynologii...

PROF. DR MED. T. PAWLIKOWSKI: Choroby tarczycy stanowią poważny problem społeczny, rejestrujemy w kraju blisko 400.000 ludzi dotkniętych tymi chorobami. Podobnie zresztą przedstawia się zagadnienie cukrzycy, ale ta choroba leczona jest głównie w klinikach internistycznych czy też pediatrycznych. Natomiast choroby nadnercza czy też zaburzenia cielesno-płciowe wymagają już interwencji endokrynologa. Szczególnie ważny problem stanowi tu niepłodność u mężczyzn, którą dotkniętych jest u nas w kraju około 200.000 osób. Są to dane orientacyjne, ponieważ wciąż jeszcze pokutuje mit, że niepłodność istnieje tylko u kobiet. W ogóle w dziedzinie cielesno-płciowej istnieje jeszcze u nas sporo zaniedbań. Świadczyć o tym może choćby reakcja słuchaczy na mój wykład inauguracyjny w Akademii Medycznej siedem lat temu, kiedy to mówiłem o wpływie hormonów na ostateczne formowanie się płci. Trzeba pamiętać, że jeszcze zbyt często płeć metrykalna człowieka nie jest zgodna z płcią genetyczną. Jest to źródłem wielu tragedii życiowych.

Mówiąc o społecznych aspektach badań endokrynologii warto wreszcie zwrócić uwagę na zagadnienie przeszczepów gruczołów dokrewnych. Próby takie były podejmowane, ale dopiero wtedy można mówić o sukcesie, jeśli gruczoł przyjmie się i podejmie normalną pracę. Największą trudność przedstawia tutaj przełamanie bariery immunologicznej podobnie zresztą jak w wypadku tak modnych ostatnio przeszczepów serca. W Łodzi prowadzimy od pewnego czasu próby przeszczepiania nadnercza, w najbliższym czasie podejmiemy je również z jajnikiem.

„ODGŁOSY": A jakimi sprawami zajmował się ostatni zjazd Polskiego Towarzystwa Endokrynologicznego?

PROF. DR MED. T. PAWLIKOWSKI: Był to już szósty z kolei zjazd, przy czym w Łodzi odbył się on po raz drugi, co nie jest przypadkiem. W naszym mieście powstała bowiem pierwsza w Polsce i jedna z pierwszych w Europie Katedra Endokrynologii już w roku 1945. W Łodzi też ukazuje się czasopismo „Endokrynologia Polska" cenione w świecie, czego najlepszym dowodem jest fakt, że rozchodzi się ono również w angielskiej wersji językowej.

Mówiąc o samym zjeździe, trudno byłoby wyodrębnić jakieś jedno zagadnienie, centralne, ponieważ tego rodzaju spotkania służą możliwie najszerszej wymianie myśli i doświadczeń, każdy ośrodek przedstawia wyniki swoich badań. Na naszym zjeździe reprezentowane były również ośrodki zagraniczne. Szczególnie cenny był udział przedstawicieli Związku Radzieckiego i Rumunii, bowiem w tych krajach istnieją instytuty endokrynologiczne.

Zjazd ostatni był szczególnie udany, ponieważ przedstawiono wyniki nowych badań i już choćby przez to poziom referatów był bardzo wysoki. Rozwinęła się też bardzo żywa dyskusja.

„ODGŁOSY": Wiemy, że na zjeździe tym dokonano wyboru nowych władz PTE. Z okazji ponownego wyboru Pana Profesora na redaktora „Endokrynologii Polskiej" prosimy przyjąć nasze serdeczne gratulacje.

ROZMAWIAŁ:
KONRAD FREJDLICH

Akt. J. Holecka

LOUIS N. RIDENOUR

ŚWIATEŁKA APOKALIPSY

Hala operacyjna w Zachodnim Dowództwie Obrony Narodowej, gdzieś w okolicy San Francisco, sto stóp pod ziemią. Ściana w głębi pokryta aparaturą nadawczą i odbiorczą, łączącą dowództwo ze stacjami kontrolnymi w głównych miastach kuli ziemskiej. Przed aparaturą — dwóch sierżantów. Dwóch innych sierżantów obsługuje przełącznię: ogromną tablicę, na której światełkami oznaczone są główne miasta świata. Za nimi stoi kapitan. Przy ogromnym biurku, pośrodku hali siedzi brygadier i dwóch pułkowników — wszyscy trzej zajęci są czytaniem taśmowych raportów. W ścianie na lewo masywne drzwi, na ścianie mapa świata, tuż obok oprawiony w ramki napis: „Pamiętajmy Pearl Harbour".

Rzecz dzieje się w okresie, kiedy wszystkie uprzemysłowione państwa są już w posiadaniu broni atomowej.

BRYGADIER (odkładając raport, który właśnie skończył czytać): Nic jak widać specjalnego. No, trzeba się trochę przyprowadzić do porządku. Kapitanie Briggs!

KAPITAN (zwracając się do brygadiera i stając na baczność): Tak, panie brygadierze!

BRYGADIER: No co, wszystko jak należy?

KAPITAN: Tak jest, panie brygadierze.

BRYGADIER: Niech mi tu każdy wygląda na dobrze zapracowanego. Jak mróweczki...

KAPITAN: Tak jest, panie brygadierze. (Słychać dzwonek). Schwartz, otwórzcie drzwi! (Jeden z sierżantów idzie w kierunku drzwi i otwiera je. Wszyscy stają na baczność. W wyraźnym zakłopotaniu sierżant przegląda przepustki, po czym, stając na baczność, wpuszcza do hali grupę osób: wysokiego rangą generała, majora i dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu).

GENERAŁ: Dobrze, dobrze, proszę spocząć. (Nastrój w hali staje się mniej formalny. Generał podprowadza dwie osoby ubrane po cywilnemu w kierunku biurka, przy którym wciąż w postawie na baczność stoją brygadier i dwaj pułkownicy. Major, na którego nikt nie zwraca uwagi, pozostaje przy drzwiach). Panie prezydencie, oto brygadier Anderson, komendant Hali Operacyjnej.

PREZYDENT: A, miło mi pana wreszcie poznać, brygadierze.

BRYGADIER: Czuję się wielce zaszczycony, panie prezydencie. (Wymieniają uścisk dłoni).

GENERAŁ: A to pułkownik Sparks i pułkownik Peabody, zastępcy komendanta.

PREZYDENT: I panów także... (podaje im po kolei rękę).

GENERAŁ: Doktor Thompson — brygadier Anderson, pułkownik Sparks i pułkownik Peabody. (Wymieniają lekkie uśmiechy i skinienia głowy). A to, panie prezydencie (zakreśla szeroki ruch ręką) nerw główny naszego przeciwnatarcia okręgu zachodniego. Te aparaty nadawcze, które pan prezydent tu widzi, (wskazuje ręką) łączą nas drogą radiową ze stacjami kontrolnymi we wszystkich głównych miastach kuli ziemskiej i dowództwami obrony w kraju. Stacje i ich kategorie oznaczone są na mapie (wskazuje ręką na mapę). Obejrzeliśmy właśnie dowództwo defensywy — urządzenia radarowe, rakiety, samoloty myśliwskie. To była defensywa. A oto przeciwnatarcie. Tu, wzdłuż ściany (wskazuje na ścianę w głębi hali) zainstalowana jest stacja przełączna. Jeśli pan, panie prezydencie, pozwoli, pozwolę sobie zademonstrować panu, jak działa.

PREZYDENT (idąc za generałem w kierunku aparatury przełącznej): Defensywa i przeciwnatarcie? A dlaczego są to urządzenia oddzielne?

GENERAŁ: Defensywa musi działać szybko, w przeciwnym przypadku jest nieskuteczna. Nie mają czasu na myślenie. Przeciwnatarcie natomiast — no, przeciwnatarcie musi też szybko działać. Ale trzeba im dać czas, by obmyślili plan działania. Ataku dokonać można wyłącznie przy użyciu min zainstalowanych w granicach naszego kraju i w takim przypadku trudno byłoby się zorientować od razu w kierunku natarcia. Poza tym jesteśmy w posiadaniu informacji, że i inne państwa dysponują bombami stratosferycznymi, które na pułapie ośmiuset mil krążą wokół ziemi jak księżyce. My sami zainstalowaliśmy takich bomb około dwu tysięcy, ale radar wykazuje obecność co najmniej pięciu tysięcy i czterystu takich bomb w przestrzeni. W każdej chwili i bez ostrzeżenia każda z tych trzech tysięcy i czterystu bomb sprowadzona być może drogą radiową na ziemię i eksplodowana gdzie i jak. Z toru lotu tych bomb nie daje się wywnioskować, w czyim są posiadaniu. Oznacza to, że dane, którymi dysponuje się tutaj, w tym dowództwie, źródło swoje mają przeważnie w informacji politycznej. Radar nie na wiele się tu przydaje. Źródłem informacji jest wywiad. Informacje te uzyskujemy — w takim stopniu i tak aktualnie, jak to jest możliwe, przy pomocy tych właśnie urządzeń teletypowych. W dowództwie obrony pracują naukowcy i technicy. Tu, w tej hali, oficerowie wywiadu politycznego.

PREZYDENT: A, to bardzo interesujące. Może i mnie tu kiedyś zatrudnicie, gdy zajdzie potrzeba. Ja też działam w dziedzinie nauk politycznych.

GENERAŁ (odpowiednio wybuchając śmiechem): Tak jest, panie prezydencie.

PREZYDENT: Ale nie pokazał mi pan jeszcze, generale, do czego służą te urządzenia (wskazuje ręką na tablicę rozdzielczą).

GENERAŁ: Nie, zaraz to zrobię, panie prezydencie. To jest tablica rozdzielcza kontrofensywy. Widzi pan, jak każda z tych stacji oznaczona jest nazwą miasta? Każda z nich ma też trzy światełka: czerwone, żółte i zielone.

PREZYDENT: Pola są teraz tylko zielone.

GENERAŁ: Tak jest, panie prezydencie. Na każdej z tych stacji, czyli w każdym mieście wymienionym tu na tej tablicy, znajdują się nieobsługiwane, automatyczne transmitory radiowe, oraz trzy identyczne egzemplarze zapasowe. Z chwilą, gdy główny transmitor gaśnie, zapala się automatycznie transmitor zapasowy. Jeśli wszystkie ulegną uszkodzeniu, lub zniszczeniu kontakt ze stacją zostaje przerwany. Wtedy zielone światełko gaśnie i zapala się żółte.

PREZYDENT: Tak? A kiedy zapala się czerwone?

GENERAŁ: Czerwone zapala się wtedy, kiedy wszystkie stacje w danym mieście tracą z nami kontakt. Żółty kolor oznacza częściowe zniszczenie, czerwony — całkowite.

PREZYDENT: Zielony kolor oznacza pokój?

GENERAŁ: Tak jest, panie prezydencie. Ale ta tablica przed nami nie służy wyłącznie do przekazywania sygnałów. Czy widzi pan, panie prezydencie, ten guzik?

PREZYDENT: Tak, widzę.

GENERAŁ: Ten guzik włącza miny. Zainstalowaliśmy je w wielu ważnych ośrodkach miejskich. Radiowy obwód kontrolny tu właśnie ma swój nerw.

PREZYDENT: Czy zaminowany jest już cały świat?

GENERAŁ: O nie. Zupełnie obojętny był dla nas np. obszar azjatycki. Poza tym, wstęp do niektórych krajów nie jest łatwy więc schematy instalacyjne wciąż jeszcze są niepełne. Pełną realizację schematów planuje się na dwa lata. Ale w ręku mamy innego asa. Czy przypomina pan sobie, panie prezydencie, co mówiłem o bombach stratosferycznych, tych które krążą na pułapie ośmiuset mil ponad ziemią?

PREZYDENT: Tak.

GENERAŁ: To właśnie ten guzik zrzuci na każde z miast tu oznaczonych — o widzi pan, panie prezydencie, wskazuje palcem na Kalkutę — jedną z tych bomb. Wystarczy nacisnąć.

PREZYDENT: Czy każda z tych bomb ma swój z góry wyznaczony obiekt?

GENERAŁ: Nie, panie prezydencie. O przeznaczeniu ich decyduje wyłącznie to, gdzie dana bomba znajduje się w danej chwili. Jest to metoda niewątpliwie bardziej skuteczna. Każdej chwili eksplodować można każdą z bomb.

PREZYDENT: To bardzo sprytnie pomyślane.

GENERAŁ: Tak a zasługę za to ponosi przede wszystkim doktor Thompson. To jego zespół opracował techniczne aspekty rzeczy. Obowiązkiem wojska jest tylko obsłużenie sprzętu i śledzenie dostarczanych informacji.

DR THOMPSON: Bardzo to uprzejmie z pana strony, panie generale. Faktem jest jednak, panie prezydencie, jak to już stwierdzono po wybuchu pierwszej bomby atomowej, że żadne z państw nie jest w stanie nam dorównać w tej dziedzinie.

PREZYDENT: Tak, tak, bardzo to wszystko imponujące. Czy podobnym sprzętem dysponują i inne ośrodki obrony?

GENERAŁ: Tak, panie prezydencie. Każdy z nich ma ponadto nie jedną lecz dwie hale operacyjne. To w razie jakichś przypadkowych awarii. Jeśli jedna ulegnie zniszczeniu, druga natychmiast przejmuje funkcje pierwszej.

PREZYDENT: Wynika z tego, że jesteśmy rzeczywiście pierwsi w wyścigu broni. Kto w tej sytuacji ośmieliłby się nas zaatakować?

DR THOMPSON: Nikt, absolutnie nikt. Nie sądzę, by do tego kiedyś doszło.

PREZYDENT: To chyba wszystko, prawda? Jestem panom wdzięczny za te naprawdę pouczającą wizytę. (Zwraca się do brygadiera). Czy miał pan, brygadierze, jakieś specjalnie interesujące doświadczenia? Myślę oczywiście o doświadczeniach związanych ze służbą.

BRYGADIER: Tak panie prezydencie. Za każdym razem, gdy spada meteoryt, nasi chłopcy od radaru zestrzeliwują taki meteoryt i dają nam o tym natychmiast znać. Czasami nie bardzo wiadomo, co to jest, przez jakiś czas jest trochę napięcia — zanim nie otrzymamy raportów spektrograficznych. Jeśli to żelazo i nikiel, jak zawsze dotychczas, wie my, że jest to podarunek od Boga. Wtedy oddychamy z ulgą. Ale pewnego dnia okaże się, że jest to uranium i wtedy trzeba będzie nacisnąć guzik. Lub plutonium.

PREZYDENT: Ile takich meteorytów już zestrzelono?

PUŁKOWNIK SPARKS (z wyraźną gorliwością): Zestrzeliwuje się ich przeciętnie koło dwunastu na miesiąc. Najwięcej jest ich oczywiście w sierpniu. To perseidy.

PREZYDENT (zdziwiony): Irańczycy...?

BRYGADIER (szybko zażegnując sytuację): Nie, pułkownik miał na myśli perseidy. Meteoryty nazwane od imienia Perseusza. Astronomi lubują się w klasyce.

PREZYDENT (równie szybko przychodząc do siebie): O tak. (Zwraca się do pułkowników): Jak podoba się panom panów praca?

PUŁKOWNIK SPARKS: Mamy nieustannie poczucie wielkiej odpowiedzialności.

PREZYDENT: Los całych narodów jest w waszych rękach, panowie. Ale proszę pamiętać, że nasz własny naród to skarb największy.

OBYDWAJ PUŁKOWNICY (tonem ogromnie poważnym):
Tak jest, panie prezydencie.

GENERAŁ: Proszę mi wybaczyć, panie prezydencie, ale zdaje się że robi się późno. Czekają już na nas w mesie z obiadem.

PREZYDENT: Tak, generale, ma pan rację, czas ucieka. Brygadierze Anderson, pułkowniku Sparks, pułkowniku Peabody, chcę panom podziękować za niezwykle interesującą wizytę. Bardzo to wszystko fascynujące. Proszę mieć zawsze oczy i uszy otwarte. Polegamy na was.

BRYGADIER I PUŁKOWNICY (razem): Tak jest panie prezydencie. (Schwartz idzie w kierunku drzwi, otwiera je i staje sztywno na baczność. Goście wychodzą pośród chóralnych pożegnań: „Do widzenia" i „Do widzenia, panie prezydencie". Schwartz zamyka drzwi. Brygadier i pułkownicy siadają przy swoich biurkach).

BRYGADIER: No, to tyle. Generał świetnie mu to wszystko zreferował. Sam nie zrobiłbym tego lepiej.

PUŁKOWNIK SPARKS (wciąż pod ogromnym wrażeniem wizyty): On na nas polega...

BRYGADIER: No, niech pan się tym tak bardzo nie przejmuje. Jedyna nasza funkcja to dawanie lekcji przeciwnikowi. Nie naszym zadaniem jest ochrona życia czy odbudowa miast. Proszę nigdy nie zapominać o tym, jak ogromną siłę mają te guziki.

PUŁKOWNIK SPARKS: Tak, panie brygadierze, ale cieszę się mimo wszystko, że jestem Amerykaninem. To my jesteśmy technicznie na najwyższym poziomie. Dobrze jest być po stronie tych, którzy są pierwsi w wyścigu broni.

PUŁKOWNIK PEABODY (nieco pogardliwie): Sparks, na miłość boską, papiesz jak szczeniak. Nasza praca wymaga zdrowego rozsądku i spokoju. (W tym momencie słychać głuche dudnienie. Podłoga i ściany hali trzęsą się, z sufitu spada kilka kawałków cementu. Gasną światła — z wyjątkiem zielonych światełek na tablicy rozdzielczej. Zapalają się światła zapasowe, bledsze niż poprzednie. Wszyscy zrywają się ze swoich miejsc).

BRYGADIER: Na miłość boską, co się stało? (Opamiętując się): Pułkowniku Peabody, proszę połączyć się natychmiast z komendą główną. Sparks, proszę mi tu podać raporty. A za ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Kapitanie, czy dowództwo obrony na linii?

KAPITAN: Połączenie z nimi jest zdaje się przerwane, panie brygadierze.

BRYGADIER: Jak wygląda sytuacja ogólna? Czy widzi pan jakieś światełka czerwone — lub żółte?

KAPITAN: Czerwone jest San Francisco, panie brygadierze.

PUŁKOWNIK SPARKS (przerzucając w panice raporty): Jezus Chrystus, to musi być już koniec. San Francisco!
(Wrzeszczy): Koniec z San Francisco!...

BRYGADIER: Niech pan się do jasnej cholery opanuje!
(Zwraca się do pułkownika Peabody): Czy ma pan połączenie z komendą główną?

PUŁKOWNIK PEABODY: Nie, połączenia przerwane. Nie działa też linia zapasowa. Może to rzeczywiście koniec?

PUŁKOWNIK SPARKS (głosem już niemal histerycznym): Róbmy coś, na miłość boską! Działajmy zgodnie z regulaminem: przeciwnatarcie musi zacząć działać natychmiast, zanim wszystko ulegnie zniszczeniu.

BRYGADIER: Najpierw rozpoznać trzeba przeciwnika. Kto w ostatnim okólniku Departamentu Stanu ma najwyższą kategorię negatywną?

PUŁKOWNIK PEABODY (który w międzyczasie przegląda raporty porozrzucane na biurku Sparksa): Dania, panie brygadierze. Ale o wiele poniżej punktu krytycznego. Ostatni raport brzmi (czyta): KOPENHAGA 22 STYCZNIA GODZINA 1635 POWSZECHNE OBURZENIE POWÓD FONTANNA WILLIAMSA PODAROWANA KRÓLOWI DUŃSKIEMU TEMAT FONTANNY LUDNOŚĆ KOPENHAGI ZBUNTOWANA MŁODZIEŻ OBRZUCA FONTANNĘ TRZYKROTNIE ZGNIŁYMI POMIDORAMI FORMALNY PROTEST STWIERDZA ŻE FONTANNA OBRAŻA GODNOŚĆ GODNOŚĆ KRÓLEWSKĄ PROTEST ZŁOŻONY PRZEZ DUŃSKĄ AKADEMIĘ SZTUKI JAK NASTĘPUJE... i tak dalej. Nie wygląda mi to groźnie.

PUŁKOWNIK SPARKS: Nie wygląda mi to groźnie? San Francisco w ruinach, idioto, a my siedzimy tu sobie jak trzy brodawki na ogórku kiszonym! I wszystko z powodu tej wszawej fontanny. No pokażmy im, co umiemy!

BRYGADIER (zwraca się do pułkownika Peabody): Czy jest to najbardziej krytyczny raport, jak pan ma?

PUŁKOWNIK PEABODY: Tak jest, panie brygadierze. Ale nie myślę, że to Dania. Chociaż... chociaż faktem jest, że ten rzeźbiarz, Williams, mieszka rzeczywiście w San Francisco.

BRYGADIER: Poczekajmy. Lepiej się upewnić. Kapitanie, czy ma pan jakieś połączenie?

PUŁKOWNIK SPARKS (już zupełnie histerycznie): Po cholerę nam to wszystko dano, jeśli nie mamy tego użyć. Nie słyszał pan, co powiedział nam prezydent? Polega na nas. Cały naród na nas polega. Jeśli wam nie starcza odwagi, to ja sam... (Biegnie w kierunku tablicy rozdzielczej i odpycha stojącego tuż obok sierżanta. Peabody rzuca się za nim i odciąga go od tablicy. Po krótkim szamotaniu Sparks przewraca się na podłogę i uderza o nią głową, tracąc przytomność).
PUŁKOWNIK PEABODY: Panie brygadierze, zdążył nacisnąć guzik. Kopenhaga czerwona!

SIERŻANT: Panie brygadierze, przyszedł raport z komendy obrony. (Odrywa taśmę z teletypu i niesie ją brygadierowi). Widocznie linie znów zaczęły działać.

KAPITAN: Sztokholm czerwony!

PUŁKOWNIK PEABODY: No jasne. Duńczycy uznali, że to Szwedzi. To rezultat tej kłótni celnej.

BRYGADIER: A Szwedzi mają jeszcze jakieś inne nieporozumienia. Zrzucą parę bomb na Wielką Brytanię, tak dla pewności. Brytyjczycy zaczną z Rosjanami. Potem już my... (Czyta doręczony mu przez sierżanta raport i opada ciężko na fotel). Boże, Boże kochany. To tylko trzęsienie ziemi, San Francisco...

KAPITAN: Londyn czerwony, panie brygadierze. I Edynburg. I Manchester. I Nottingham. I...

PUŁKOWNIK PEABODY: No, no, to już początek końca. Szkoda, że Rada Bezpieczeństwa tym wszystkim się nie zajęła. Toć przecież...

BRYGADIER: Peabody, zaczyna pan ględzić jak Sparks. Choć w istocie co można mu zarzucić? Trochę za dużo patriotyzmu i za mało zdrowego rozsądku. (Zwraca się do kapitana). Kapitanie, nie uda nam się chyba wiele z tego uratować, ale trzeba próbować. Niech pan przekaże tę informację na wszystkich liniach. (Kapitan siada przy teletypie).

KAPITAN: Proszę, panie brygadierze.

BRYGADIER: Do wiadomości wszystkich ośrodków: NAKAZUJE SIĘ NATYCHMIASTOWE ROZPROWADZENIE NINIEJSZEJ WIADOMOŚCI ZNISZCZENIE KOPENHAGI GODZ. 19.40 DZISIAJ SPOWODOWANE PRZEZ NAS W WYNIKU TRAGICZNEJ POMYŁKI AKTY ZNISZCZENIA DOKONANE POTEM OPARTE NA FAŁSZYWYM ZAŁOŻENIU, ŻE ZAISTNIAŁ STAN WOJNY KTÓREGO NIE BYŁO POWTARZAM NIE BYŁO DALSZE ATAKI WINNY BYĆ ZANIECHANE AŻ DO WYJAŚNIENIA SYTUACJI STAN WOJNY FAKTYCZNIE NIE POWTARZAM NIE ZAISTNIAŁ KONIEC.

PUŁKOWNIK PEABODY (który przez ten cały czas przyglądał się tablicy rozdzielczej): Nie, a? To wszystko jest tylko zabawą, co? Nowy Jork czerwony, Chicago czerwone... (Wśród przerażającego dudnienia gasną wszystkie światła. Z ogromnym, strasznym łoskotem zawala się sufit).

Przełożył: STEFAN KONARSKI

Z TEKI Ł.T.F. *Fot. K. Janaszewski*

Dwa dni z partyzantami AL – FATAH

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Jest ciemno i cisza zupełna, a droga bardzo trudna, ale partyzanci AL-FATAH mają orle oczy i znakomicie znają marszrutę i, jak dotąd, wszystko przebiega bez zakłóceń. Od czasu do czasu trzeba minować przedpola izraelskich placówek wojskowych. To trudne zadanie wykonują partyzanci szybko, sprawnie i bez hałasu, nieomal na oczach zaczajonego wroga. Posuwamy się teraz z maksymalną ostrożnością, z bronią gotową do strzału.

Niektóre posterunki izraelskie mijamy tak blisko, że widać żarzące się ogniki papierosów, a nieraz słyszymy też przyciszone rozmowy wartowników. Na innych posterunkach panuje niepodzielna cisza, ale wiemy dobrze, że czuwają tam przyczajeni żołnierze izraelscy, gotowi otworzyć ogień choćby nawet do cienia.

Idziemy wciąż bardzo szybko, uważając jednak na każdy krok. Dowódca oddziału, Said, podchodzi od czasu do czasu do każdego partyzanta, szepcąc mu na ucho rozkazy, po czym wraca na czoło grupy. Równiny Palestyny są falliste i droga wcale niełatwa, raz wspinamy się na nagłe wypiętrzenie skalne, to znów schodzimy ostrym zakosem. Marsz jest ciężki i bardzo uciążliwy, nim postawi się krok, trzeba wprzódy stopą zbadać grunt, żeby nie stoczyć się do szczeliny skalnej. Skała i piasek, piasek i skała, i tak na przemian. Jak długo jeszcze? Gonię już ostatkiem sił, a przecież niosę tylko aparat fotograficzny, jednak nie śmiem prosić o chwilę wypoczynku, widząc jak wielkie ciężary dźwigają partyzanci, a mimo to idą i idą bez wytchnienia! Ale dowódca oddziału widzi, że słaniam się na nogach i rozkazuje jednemu ze swych ludzi odprowadzić mnie do bazy.

Bojowe zadanie grupy polegało na zaminowaniu dróg i małych dróżek, na przedpolach izraelskich wartowni, którymi dojeżdżają, lub dochodzą, zmiany wartowników. Gdy grupa, po pomyślnym wykonaniu operacji powróciła do bazy, dowiedziałem się szczegółów tego nocnego wypadu bojowników AL-FATAH.

Oto przekradając się tuż obok wojskowego obozu izraelskiego okupanta, nasza grupa natknęła się na zasadzkę. Po gwałtownej wymianie ognia, partyzanci zboczyli nieco z marszruty, dotarli do skał i pod ich osłoną kontynuowali marsz w kierunku Jerycho-Ramalla, i dalej, aż do izraelskich posterunków na zachodnim brzegu Jordanu. Tutaj wreszcie, już na miejscu zaplanowanej operacji, dowódca rozmieścił ludzi, rozkazując, iżby w każdej chwili byli gotowi do krycia ogniem z broni maszynowej, gdy będzie minował drogi wiodące do izraelskich warowni. Po pomyślnym wykonaniu zadania, Said, prześlizgując się między patrolami wroga, wycofał się do urwiska skalnego, skąd widział izraelskie posterunki i zaminowane drogi. Tutaj był już jeden z partyzantów z oddziału, palestyński poeta Abu Murim. Czekali na efekty przeprowadzonej akcji bojowej. Czekali nie długo, bo oto w pewnej chwili nastąpiła ogłuszająca eksplozja i pomarańczowy płomień buchnął w niebo. Najechał na minę i wyleciał w powietrze izraelski samochód wojskowy. W następnej minucie drugi wybuch wstrząsnął powietrzem — to poeta Abu Murim rzucił wiązkę granatów w zbitą grupę izraelskich wartowników.

Na pomoc zaatakowanym Izraelczykom pośpieszył większy oddział wojska, jednakże partyzanci nie dali się zaskoczyć i szybko zawrócili w kierunku bazy. Nad doliną rozgorzała łuna, płonęły wartownie i jakieś składy zaopatrzenia, to tu, to tam grzmiały wybuchy eksplodujących min. Operacja przebiegła bardzo sprawnie, niestety, na polu bitwy pozostał ich towarzysz walki Abu Achmed.

W następnej akcji bojowej partyzantów AL-FATAH miałem zaszczyt wziąć osobisty udział.

Grupą dziewięciu ludzi dowodził osobiście Abu Rafaat. Wyruszamy z obozu punktualnie o dziewiątej wieczorem. Po dwóch godzinach forsownego marszu oddział dociera do miejsca przeznaczenia i kryje się za potężnym masywem skalnym. Partyzanci pod osłoną towarzyszy minują drogę, wiodącą do izraelskiej bazy oddziałów pancernych, zakładając kilka min zawierających po 18 kilogramów trotylu oraz pewną liczbę min przeciwko piechocie. Po wykonaniu zadania, dwóch partyzantów i ja zostajemy na miejscu, zaś reszta oddziału udaje się w drogę powrotną do bazy. Zajmujemy punkt obserwacyjny na wierzchołku skały, w bezpiecznej odległości od miejsca operacji bojowej.

O godzinie ósmej rano, na drodze ukazuje się izraelski czołg „Patton". Po chwili, dosłownie oślepia nas błysk gwałtownej eksplozji. Wśród ognia, zwałów ziemi, odłamków skał i głazów, lecących wysoko w górę, płonie na naszych oczach stalowy kolos... W kilka minut później na drodze ukazuje się izraelski jeep. Hamuje i natychmiast wyskakuje z niego trzech żołnierzy. Biegną do płonącego czołgu. Ale teraz eksplodują miny przeciwko piechocie... Martwa cisza, tylko jasne i czerwone jęzory ognia, dym i drobny grzechot eksplodującej amunicji. Słyszymy warkot śmigła, po chwili na drogę spływa helikopter i zawisa nad pobojowiskiem; tym razem pomoc przybywa z powietrza. Załoga aparatu zbiera ciała zabitych i rannych i transportuje je do bazy.

Tego dnia wieczorem, przebywając już na nowym miejscu bazy — oddziały Al-Fatah nieustannie przenoszą swoją bazę z jednego miejsca na drugie — słuchamy z Tel Awiwu radiowego komunikatu dowództwa wojsk izraelskich o tym wydarzeniu. W komunikacie przemilczano straty w ludziach.

Opisane operacje bojowe organizacji Al-Fatah są, oczywiście, zaledwie drobnym epizodem z walki arabskich partyzantów, którzy walczą na tyłach wroga, na ziemiach arabskich, zagarniętych przez izraelskiego okupanta.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

Piękny dzień

Postawił w izbie walizkę i poszedł na plażę. Przyjeżdża tu co roku. Wie, że może sobie skrócić drogę. Musi tylko wyjść za szopę, w której gospodyni trzyma norki, przeciąć spaloną łączkę-śmietnik, wspiąć się kilkoma susami w górę i zobaczy znowu morze. Na suchych źdźbłach kołysza się krople, tracą krople spodniami, roztrzaskują się mikroskopijne bańki. Zmoczone gazety wyglądają jak pozarzynane ptaki. Odchylone wieko puszki pokryte rdzą. Wczoraj spadł widać deszcz. Pachnie świeżością. Za wydmą pulsuje morze, ogromna, niezmierzona skroń wody. W jednym miejscu trawa jest zgnieciona, sprasowana kocem, który tu leżał. W porzuconej butelce brązowieje cieniutka warstewka olejku. Wydma odgrodzona jest płotem zrobionym z suchych kijów. Rozchylił kije i stanął na piaszczystym zboczu. Spod podeszwy popłynął strumień piasku. Zakryte morze wydaje takie odgłosy jak pociągnięcia wiosłem. Przed oczami drży srebrzysty oset. Wpiera trzewiki w osuwający się piasek. Przebija warstwę pod którą leżą rozgrzane, twarde ziarna. Na górze targnął nim lodowaty wiatr.

Gdy wrócił, w izbie było już ciemno. W otwartym oknie szumiały gałęzie. Usiadł na łóżku. Księżyc wydobywa z mroku kant szafy, rozsypuje się na obrusie. Z ulicy dolatują kawałki zdań, postukiwania o chodnik. W izbie gospodarzy spiker przekazuje wiadomości. Ale przez te wszystkie głosy słyszy morze, pracuje niezmordowanie jak młyn.

Obudziło go pukanie. Gdy powiedział. — Proszę — w drzwiach stanęła Marysia, siedmioletnia córka gospodarzy, chuda, ciemnoskóra dziewczynka z chudymi warkoczykami.

— Dobry wieczór, panu.

— Dobry wieczór, Marysiu. Co u ciebie słychać?

— Nic.

— Jak to nic?

— No nic, bo ja jestem jeszcze mała.

— Skąd mała. Jesteś już dużą panną. Strasznie urosłaś.

— A ile?

— Co ile?

— No ile urosłam.

— Z tyle na pewno. Rozstawił duży i wskazujący palec żeby pokazać Marysi ile urosła. Patrzy na miarę z niedowierzaniem.

— Eee, pan tylko tak mówi.

— Słowo honoru, że tyle urosłaś, a może jeszcze więcej — powiedział muskając palcem stroskany policzek.

— No, teraz to już wierzę.

— Jesteś mały, niewierny Tomasz — zażartował.

— To pana znajomy?

— Tak — powiedział. Morze szumi jak ziarna przesypywane w wielkich sitach.

— Był pan nad morzem — zapytała Marysia wyczyniając coś ze swoimi palcami.

— Byłem — i zaraz, ale tak żeby jej nie obrazić: Przepraszam cię, moja droga, muszę się rozpakować. Liście w oknie wygląda ją jak węgiel polany wodą. Trzasnął zamek. Oparł wieko o poręcz krzesła. Drzwi szafy zaskrzypiały boleśnie. Marysia piastka mi przykryła uszy. Popatrzył na półki i pomyślał co na której położyć: koszule chyba wyżej, szczotkę do butów, pastę i inne rzeczy na dole. Zapachniało zaraz, gdy otworzył drzwi, ale dopiero teraz uświadomił sobie ten zapach. W szafie pachnie jabłkami.

— Może pomóc — zaofiarowała się Marysia.

— Dziękuję, kochanie. Pomyślał, że mogłaby go zostawić samego. Marysia stoi jak słup. Przechylona główka zagląda do walizki.

— Mój tatuś ma też taką nylonową koszulę.

— Ale takiego krawata nie ma — zażartował, wyjmując z walizki kolorowy krawat.

— Piękny — wykrzyknęła Marysia, składając ręce jak do modlitwy.

— Masz — powiedział podając jej krawat. Marysia wyciągnęła rękę, ale zaraz cofnęła ją jakby trzymał pokrzywę. Okręciła się na pięcie, stanęła przy drzwiach.

— Mama kazała zapytać czy będzie pan jadł — powiedziała szarpiąc mysi warkoczyk. Spojrzał na zegarek. Wskazówka pokazywała późną godzinę. Nie jestem głodny pomyślał. A głośno: jestem bardzo zmęczony, nic nie będę jadł, idę spać. Marysia ukradkiem spojrzała na krawat i wybiegła.

Prędko rozebrał się. Zgasił światło. Na palcach przeszedł po wyszorowanych deskach. Położył się na chłodnej bieli. Podciągnął kołdrę pod brodę. Szelest płótna przypomniał mu znowu morze.

Na drugi dzień po niebie żeglowały chmury. Od czasu do czasu wyszło słońce, ale potężne zwały nachodziły na jasną tarczę z regularnością dobrze wyćwiczonego wojska. Liście hałasuja jakby były ukute z blachy. Na sobie ma gruby sweter. Wiatr dobrał się do ciepła wyniesionego z izby. Zszedł z progu i przysiadł na ławce. Przy murze jest ciszej. Od tynku czuć wczorajsze słońce. Z drzwi wyszła gospodyni z pustymi wiadrami. Powiesiła jedno na kranie zakończonym głową zwierzęcia. Chwyciła metalowe ramię pompy i zaczeła je naduszać. Z otwartej paszczy bluznęła woda. Przejrzysta struga rozpryskuje się o brzeg wiadra. Drugie wiadro sam podniósł z ziemi i powiesił na szyi zwierzęcia, bo to, co ciągnie się od łba, można było tak zobaczyć. Po drodze wiadro obiło się o nogę. Chlupnęło o ziemię, woda zmoczyła czubki trzewików. Gospodyni podeszła i ruchem delikatnym ale stanowczym odebrała mu wiadro.

— Niech pan usiądzie, odpocznie, dosyć się pan przez cały rok narobi. Na progu przełożyła wiadro w drugą rękę, odwróciła głowę, ponad ramieniem spojrzała w niebo, spojrzenie było krótkie, dokładne. Pomyślał: odwraca chmury. Jakby odgadła jego myśli. Jutro będzie pan miał piękny dzień. Uśmiechnęła się i weszła w drzwi. Wrócił pod mur.

I wtedy to zobaczył. Ogromny, tłusty kot poluje na wróbla. Z początku myślał, że wiatr. Zieleń w ogródku poruszyła się, bieg nie gałązka za gałązką, kot precyzyjnym ruchem ominął krzak agrestu, o ruch łapą trzepoce wróbel, szara rozpaczliwa plamka, krzyknął, za późno, wróbel już miał się wzbić, ale kot zabiegł mu lot, stanął przed nim w powietrzu, dwie łapy — maczugi spadły na ptaka, zleciał jak kamień do jego nóg. Skrzydła wyczerpane walką leżą jak postrzępione szmaty. Kot wykalkulował, że nie może się zbliżyć. Zrobił niewyraźny ruch, ale prędko wyczuł, że nie ma w nim sprzymierzeńca. Po tym niewyraźnym ruchu, owalnym, zaczepnym zwrotem odszedł kilka kroków, potem jakby uznał odległość za dostateczną dla swego bezpieczeństwa, przysiadł wysuwając przed siebie łapy-maczugi. Podniósł wróbla. Był już nieżywy. Wszedł do ogródka. Zakopał wróbla bardzo głęboko. Do końca dnia siedział pod murem. Kot krążył.

Gospodyni zna się na niebie, od samego rana pogoda, w powietrzu czysto jak w bursztynie, płyty chodnika przecinają osadę na dwie połowy rozparzone słońcem. Zabrał koc, ręcznik, olejek do opalania i znajomą drogą poszedł na plażę. Morze jest spokojne jak polirurowana szafa. Na plaży kratery dymiace ludźmi, nagimi plecami, ramionami, nogami, ciała smaża się w patelniach-dołach, w garnkach-dołach. Ogarnął oczami ten zamet parę razy, nim znalazł dla siebie wolny skrawek. Wszystkie drobiazgi, które z soba zabrał, wsunął w koc. Zdjął trzewiki i położył je obok zawiniątka, rozejrzał się czy nie ma zasłony, za którą mógłby zdjąć spodnie, dopiero za wydmą zaczyna się wąski lasek, był jednak zbyt rozleniwiony słońcem, żeby tam dojść. Rozglądnął się jeszcze raz, utwierdziwszy się, że nikt się nim nie interesuje, rozpiął szybko rozporek i ściągnął spodnie. Nogi owionęło morze. Poprawił slipy, zrzucił z ramion koszulę i runął w piasek. Zrobił to z dzika bezmyślnością, przywarł do piasku jak do kobiety. Poczuł miliardy ziarenek, które tu na niego czekały cały rok.

TADEUSZ GICGIER

* * *

Miasteczko schodzi w dół i klęka u stóp wzgórza,
wzgórze pofałdowane czoło we mgle zanurza,

mgła lepka, lepki śnieg, na śniegu czarne wrony,
pejzaż ze snu twojego w jawę przeistoczony,

wrony, te grudy ziemi, skrzeczą, ich skrzek sękaty
wpada w jezioro mgły jak w grube zwoje waty.

Pójdziemy przez twój sen, ty górą, ja doliną,
ta ścieżka, którą idziesz, na ukos wzgórze przecina.

ze ścieżką, którą ja idę, jak ręka z ręką się zbiega
i — zbiega.

Rozmowa z księżycem

— Powiedz, czemu ukrywasz się w zimowej chmurze?
— Po to, by ci przypomnieć me letnie podróże.

— A czemu cię zasnuły mgły blade i dymy?
— Bo takie jest oblicze twoje i tej zimy.

— Czy widzisz coś za dymów gęstymi kłębami?
— Wiatry chodzą po niebie między obłokami.

10.I.1968

* * *

Pierwsza zima, śnieg pierwszy, wiersz pierwszy,
ślady butów — zgłoski dalszych wierszy,
przez noc cała znów śniegiem sypało:
niech ta karta pozostanie biała.

Wiersze z tomiku „Zimowy owoc", który ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Z TEKI Ł.T.F.

Fot. K. Janaszewski

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

Z CYKLU: SYLWETKI ŁÓDZKICH PLASTYKÓW

Jerzy Krawczyk
— malarz łódzki czy polski?

Obmyślałam sobie bardzo precyzyjny plan rozmowy — punkty, podpunkty, problemy, zagadnienia. Bo to i twórczość artystyczna i bogate wystawiennictwo krajowe i zagraniczne, a przecież znaleźć się tu musi miejsce na chwilę wspomnień i kilka tradycyjnych pytań — co pan sądzi o...? czy pan uważa, że...?

Nie, nie udało mi się wtłoczyć Krawczyka w schematy. W ogromnej i mrocznej pracowni, wśród antyków, pięknych książek i obrazów, usiadłam i właściwie słuchałam, jak gospodarz gawędzi w moją stronę.

— „Rok trzydziesty trzeci — szczupła pracownia szkółki malarskiej Andrzejewskiego. Na podwyższeniu fioletowa z zimna, naga dziewczyna a daleko, w kącie przed sztalugą czerwony z przejęcia trzynastoletni chłopak, nieśmiało zerkający na modelkę. Kiedy spoglądała na mnie, stawałem się nieprzytomny z zażenowania i wpychałem w nogawkę krótkich spodenek wyłażącą mi niesfornie podwiązkę. To były początki mojej malarskiej edukacji. Jak pani widzi, jestem starym malarzem — ale młodym człowiekiem" — dodaje żartobliwie.

Od tego czasu życie Krawczyka związane jest mocno ze sztuką, więcej, mój gospodarz zawdzięcza jej życie. I nie jest to patetyczna deklaracja, ni sentymentalna metafora. Ale posłuchajmy:

„Mój udział w kampanii wrześniowej miał smętny epilog — znalazłem się w niewoli. W Dortmundzie Niemcy przeprowadzali „selekcję", kwalifikującą jeńców do pracy w kopalniach, fabrykach broni. Był to obraz dość groteskowy — w fotelu siedział SS-man przebrany, tak, przebrany w lekarski fartuch i bez względu na kondycję fizyczną delikwenta cedził ze znudzeniem — zdolny, zdolny... Albo dla urozmaicenia — zdrowy, zdrowy, zdrowy. Zapytany o zawód odpowiedziałem z determinacją — Kunstmaler. W „Komisji Kwalifikacyjnej" powstało małe zamieszanie.

Jeden z SS-manów wybiegł, po chwili wrócił z rentgenem płuc tak zżartych gruźlicą, że widać było tylko ramki kliszy. Coś tam zapisano, dołączono zdjęcie i, to zabrzmi jak anegdota, nie pojechałem do kopalni, po śmierć. Bo miałem ten sam zawód, co führer..."

A potem?

„Potem pięć lat pracowałem pod kierownictwem von Kaltenbacha, niegdysiejszego profesora Wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, jednego z tych, którzy uniemożliwili Hitlerowi karierę malarską. Skutki tego kroku odczuł cały świat — mówi poważnie — lepiej byłoby gdyby führer malował ruiny, niż produkował je sam...

Od... czterdziestego piątego jestem członkiem ZPAP, od sześćdziesiątego w Kolegium Redakcyjnym „Przeglądu Artystycznego". I pracuję się. Dni są za krótkie, pracownia zbyt zatłoczona, malarstwo zbyt wymagające, więc praca, praca, praca".

To prawda, Krawczyk jest twórcą płodnym. Jeśli tylko pozwala mu na to stan zdrowia, pracuje z pasją, bezustannie, namiętnie.

A że świat jego wizji artystycznych jest bogaty, fascynujący i niepowtarzalny, nieustannie zapraszany jest do uczestniczenia w ekspozycjach — zestawy jego obrazów krążą po całym świecie. Dość przytoczyć bilans wystawienniczy roku 1966, który dosadnie ilustruje uznanie dla jego talentu, określa jego rangę: Udział w Światowej Wystawie Sztuki Nieabstrakcyjnej w Tokio; w Wystawie Współczesnego Malarstwa Polskiego w Moskwie (wespół z Nowosielskim, Ejbischem, Niesiołowskim, Liberskim); Międzynarodowej Wystawie poświęconej człowiekowi i jego otoczeniu w Augsburgu, ekspozycji Współczesnej Sztuki Polskiej w Lubece (NRD). A było jeszcze Sao Paulo, Londyn, Paryż, Oslo, Helsinki, wiele wystaw krajowych, wiele nagród i wyróżnień. „Tak, wystawia się trochę — mówi Krawczyk, pokazując sterty pięknie wydanych, kolorowych, różnojęzycznych katalogów — niedługo wysyłam moje obrazy na indywidualną wystawę w Nowym Jorku". I pokazuje mi obrazy, dużo, dużo pięknych obrazów, i opowiada, tłumaczy, przynosi nowe.

Są to utwory bogate w treści intelektualne, filozoficzne, utwory, które fascynują, wstrząsają, bawią.

Obrazy Krawczyka wydają się być preparowane przy pomocy techniki collage'u. Nie są to jednak „naklejanki", kompozycje wykonane z rozmaitych materiałów i tworzyw, a collage przypominają ze względu na drobiazgowy realizm i ogromną ekspresję przedstawianych przedmiotów, ze względu na ich iluzyjną trójwymiarowość.

„Przestrzenność" jego obrazów jest wynikiem długotrwałych twórczych penetracji, nieustannych poszukiwań form języka plastycznego, w których wypowiedzieć mógłby się najpełniej.

„Jaka była droga mej twórczości, jaka dialektyka? Ano, dość meandrowata, kiedy wszyscy malowali socrealizm, ja byłem kubista. Ale gdy chcieli wystawić moje kuby, urządziłem wielkie pranie. Śmieje się pani? — zwyczajnie, płótna do łazienki, trochę proszku i pranie. Wiedziałem, że to jest już mi niepotrzebne, że do tego nie wrócę. Potem zaintrygowała mnie „przestrzenność" w obrazie. Proszę zwrócić uwagę, że niemal wszystkie moje obrazy mają wewnątrz ramę, namalowaną. Bo obraz jest oknem na inny świat, świat własnych przeżyć i wizji. Ingerencja tego drugiego świata w naszą realność jest bardzo silna. I ja to pokazuję. Bohaterowie mojego świata wychylają się z ram obrazów, tu dłoń (pokazuje „Monę Lizę"), tu cała postać („Akt"). Moim zadaniem jest sprawić, by ten drugi świat był pełnoprzestrzenny, ta druga rzeczywistość aby była pełna.

Moim ideałem są mistrzowie Renesansu, którzy twierdzili, że przyszłość malarstwa leży w doskonaleniu obrazowania form przestrzenności. Albo Vermeer, on może być tu również malarzem przykładowym".

Jerzy Krawczyk zaliczany jest do współczesnych realistów, interesuje go przedmiotowy konkret, jest to jednak twórca, którego obrazy orzekają świat, przynoszą summę wiedzy o realności, co zaciera w efekcie dosłowność znaczeniowa przedmiotów przedstawionych.

Mój gospodarz twierdzi przekornie, że zestawia modele na zasadzie przypadku, że to zabawa, igrce.

Lecz nie dajmy się zwieść żartobliwym deklaracjom, każdy z obrazów stanowi kompozycję skończoną, intelektualnie i artystycznie.

Malarstwo Jerzego Krawczyka jest agresywne i drapieżne, a przedmiot ataków stanowią negatywne wydarzenia współczesnej realności.

Interesują go zarówno wydarzenia polityczne („Hiszpania", „Syjoniści"), jak obyczajowe („Śniadanie na trawie", „Niedziela"). I bardzo mocno problemy związane z Łodzią, z jej historią („Scheibler powstał pierwszy") i współczesnością („Ulica Milionowa"). Zaintrygowana kilkoma wersjami tego ostatniego obrazu, spytałam, czy jego zdaniem ulica ta stanowi ekstrakt łódzkiej egzotyki?

„Może i nie, ale widzi pani, tam są płoty. A płoty, to gazeta i agitka, to ulotka i reklama. Łódzkie płoty były swoistym raptularzem przemian, jakie dokonywały się w Łodzi. Tam czytało się gdzie ruszyły strajki, kto kocha Zośkę spod trzydziestego, kogo popierać będziemy w kampanii wyborczej i jakie mydło najlepiej się pieni. Były one zapisem aktualnych problemów Łodzi, rejestrem lokalnych wydarzeń. A nawet miejscem popisów literackich.

Kiedyś na przykład, w związku z zamianą kościoła ewangelickiego na katolicki czytałem: przepraszam:

„Na placu Wolności
pobiły się bogi
I Pan Jezus luterskiemu
wyrwał z tyłka nogi".

Zresztą Łódź intryguje mnie do dziś, nieodmiennie. Nic to dziwnego. Jestem przecież łódzkim malarzem.

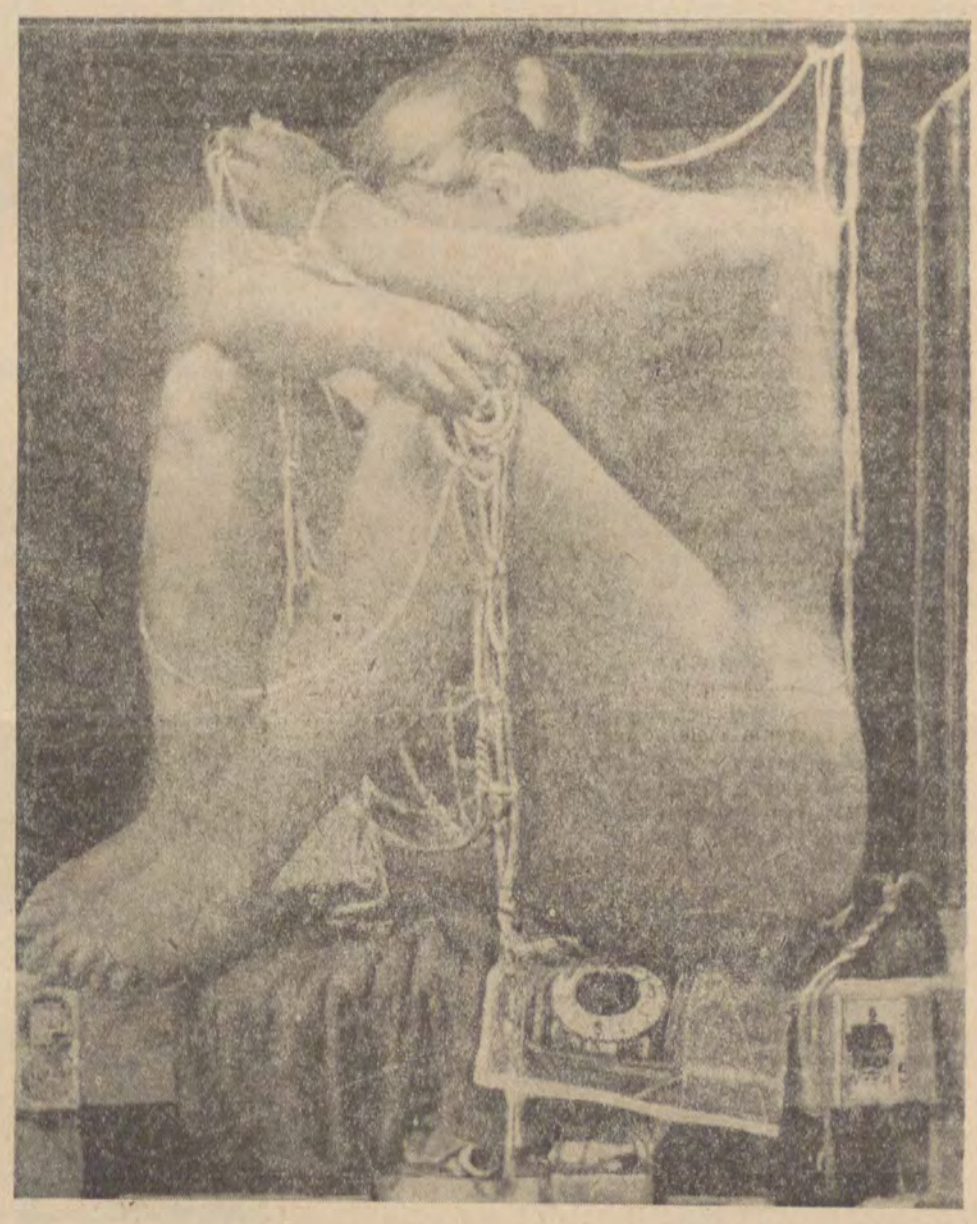

Jerzy Krawczyk. Akt

EUGENIUSZ IWANICKI

Poezja drzew i ptaków

Gdy w 1966 r. ukazał się pierwszy tomik wierszy Wasyla Kocznowa pt. „Liście i ptaki", napisałem, że jest to debiut dojrzały. A przecież droga Kocznowa do literatury polskiej była wyjątkowa (drogę do poezji odnalazł o wiele wcześniej), można powiedzieć, że była to trudna i mozolna wspinaczka. A mimo wszystko, mówiąc słowami Jana z Czarnolasu, wdarł się na „skałę pięknej Kalijopy".

Dla tych, którzy nie zetknęli się dotychczas z jego poezją, przypomnę, że Wasyl Kocznow jest Rosjaninem, absolwentem Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie. Debiutował w 1957 r. w prasie moskiewskiej. W dwa lata później przyjechał do Polski i rozpoczął pracę jako wykładowca literatury rosyjskiej i języka rosyjskiego. Dotychczas wydał: w 1960 r. w języku rosyjskim tomik poezji „Pierwyj dożd" w 1966 w języku polskim „Liście i ptaki", a obecnie ukazał się nowy jego zbiorek, wydany przez Iskry — „Muszla".

Mariaż dwóch kultur, rosyjskiej i polskiej, spowodował, że wiersze Kocznowa pomimo ich poprawnej polszczyzny i słownej precyzji, są w gruncie rzeczy przesiąknięte duchem poezji rosyjskiej. Jest w nich coś, co przypomina stepy o zachodzie słońca z garbami zapomnianych kurhanów, rozlewiska rzek osaczonych przez milczącą tajgę, jest w nich wreszcie, tak częsta w poezji rosyjskiej, zaduma nad przemijaniem świata, smutek i melancholia. Kocznow, oczywiście, zdaje sobie sprawę, że tworzy dla polskiego czytelnika, jednak sprawa narodowości odsuwa się na plan dalszy i poeta utożsamia się z legendarnym Słowianinem, tym z bylin rosyjskich:

Gniew nasz — od ognia — wskrzeszonego z kamienia.
Wiatry — od naszych strzał szalonych,
gdy niebo jak łuk się zgięło przy każdym ramieniu.
Cały naród — lud nasz od Dadżboga się wziął.
Nasza siła-zdrowie — od dębów-drzew
Nasze łodzie-kołyski — od rzek pędzących z chmury.
A rzeki — od błyskawic z Karpat-góry.

Sprawa wspólnoty słowiańskiej jest częstym motywem przewijającym się przez wiersze. Dla przykładu: „Witeź stepowy", „Gród", „Źródło" czy wreszcie „Słowianie", skąd pochodzi powyższy cytat.

Symbole od wieków były nieodłącznym atrybutem poezji. Jednak symbolika poezji Kocznowa tkwi przede wszystkim w przyrodzie. To, co wyniósł z kraju dzieciństwa, ludowe pieśni rosyjskie, bylinę, porzekadła, wszystko to, posłużyło jako tworzywo przy budowie wiersza. I tak, bardzo często, spotykamy motyw drzew, symbol długowieczności, potęgi i siły. Lecące ptaki — to nietrwałość i kruchość, a dzbany „owoce ognia cierpienia gliny", są symbolem wiecznego, życiodajnego źródła.

Na zakończenie chciałbym dodać, że Wasyl Kocznow i jego poezja na naszym gruncie winny zainteresować krytykę i doczekać się szerszego, fachowego omówienia.

Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że staranne wydanie tomiku jest zasługą grafika Jerzego Jaworskiego oraz fotografa Eugeniusza Kudaja, którzy zaprojektowali szatę graficzną.

Wasyl Kocznow — Muszla. Wyd. Iskry, 1968 r. Str. 64, cena zł 10.

Bez strachu

ŻYWE I MARTWE SŁOWA

To co mówimy, to co piszemy — wszystko to co wypowiadamy i czym wypowiadamy... wypowiada — my oczywiście słowami, zdaniami — otóż ktoś mi powiedział, że są słowa żywe i słowa martwe. „Te oto słowa" mówił mój rozmówca „którymi cię informuję o istnieniu słów żywych i martwych są przykładem słów żywych, bowiem wypowiadam nimi pewne przemyślenie — rozumiem ponadto swoje słowa i pragnę abyś ty je zrozumiał — te więc właśnie rozumiane i do rozumienia przeznaczone, komunikujące słowa to słowa żywe..." „Czy słowa żywe" to takie słowa, którymi mówisz o słowach", „O nie to tylko sprawa treści tematu — istotne dla życia słów to właśnie rozumienie". Pytałem jeszcze czy słowa żywe to słowa łatwe, takie które przez każdego mogą być rozumiane. Okazało się, że rzeczywisty podział słów na łatwe i trudne nie istnieje — przyjmując taki podział można by dojść do osobliwych i dziwnych wniosków — właśnie słowa uchodzące potocznie za łatwe są trudne gdy nie są rozumiane, są zbyt częstym środkiem wypowiadania i dlatego właśnie nadmiernie do nich przyzwyczajeni przestajemy je rozumieć i tak podobne słowa nierozumiane powoli martwieją. Słowa martwe nie są ani łatwe, ani trudne — one są poza rozumieniem — to słowa wypowiadane automatycznie nie po to, by coś komunikować, ale aby zyskać na czasie, aby coś ukryć, co właśnie powiedziane być powinno. Mój przyjaciel — znakomity recytator powiedział, że słowa żywe to słowa mówione a słowa martwe to słowa pisane i basta... Jeżeli zatem wypowiadam słowa szekspirowskiego Hamleta: „Być albo nie być" — oto pytanie" — mówię słowa zdaniem recytatora żywe — nawet wtedy kiedy mówię je bezmyślnie, automatycznie, dla nikogo. Natomiast jeżeli przejęty piszę: „Najdroższa — bardzo tęsknię za Tobą..." używam zdaniem mego recytatora słów martwych bo pisanych, nawet jeśli bolą mnie do krwi... Jest to podział słów okrutny i fanatyczny — życie i śmierć słów wznosi się ponad dźwiękiem i zapisem, zależne jest od ich rozumienia i odczuwania. Mało istotna jest także odległość słów od początku życia i od śmierci — słowa dziecka mogą być martwe, słowa umierającego — Ostatnie Słowa żyją szczególnym, zwielokrotnionym życiem — wydaje się, że w słowach tych zawarta jest nie tylko jedna myśl, jedno uczucie — ale wszystkie myśli i uczucia — ostateczna ich suma, cały odchodzący już człowiek pragnie w nich siebie utrwalić i tym którzy zostają zaproponować wielkie, zupełne zrozumienie... Między najbardziej żywymi Ostatnimi Słowami a Słowami Martwymi — poruszają się słowa senne, półsenne — słowa, które wypowiadający zaczyna rozumieć dopiero po wypowiedzeniu pierwszej sylaby a przestaje po wypowiedzeniu ostatniej. Mówili kiedyś tacy, którzy twierdzili, że naprawdę istnieją i pisali, że żyją tylko słowa — jeżeli mówili i pisali prawdę, to prawda ta dotyczy tylko niektórych słów — Naszych Słów Ostatnich.

BERNARD SZTAJNERT

Wyróżnienia i nagrody dla łódzkich filmowców

Na niedawno zakończonym w Krakowie Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych łódzcy filmowcy odnieśli niemałe sukcesy. Tradycyjne Lajkoniki i wyróżnienia otrzymali J. KĘDZIERZAWSKA i S. SCHABENBECK z SEMAFORA oraz J. ARKUSZ i A. BRZOZOWSKI z WFO. A oto krótkie sylwetki łódzkich laureatów krakowskiego festiwalu.

JADWIGA KĘDZIERZAWSKA

„Małe smutki" — duże brawa. Film Jadwigi Kędzierzawskiej o góralskiej dziewczynce, nie bez kozery otrzymał Nagrodę Lajkonika na krakowskim festiwalu. Ten słoneczny, czysty w konstrukcji i wyrazie film, jakoś wyraźnie odróżnia się swoją „czystością" od przeciętnej produkcji krótkiego metrażu.

Powiedzmy sobie szczerze — istnieje potrzeba filmów o dzieciach i dla dzieci, filmów wynikłych z podpatrywania reakcji i zachowań dzieci. Oczywiście, nie jest łatwo realizować takie filmy. Jadwiga Kędzierzawska ma na swym twórczym koncie wiele takich miniaturowych dzieł filmowych i może dziś o sobie powiedzieć, że jest ekspertem w tej trudnej sztuce.

Nic zatem dziwnego, że i nagród przybywało z upływem realizowanych filmów. Wśród tych artystycznych trofeów jest i Brązowy Lew, otrzymany na Festiwalu w Wenecji i Złote Koziołki z Poznania, i — ostatnio — wyróżnienie dla „Małych smutków" w Krakowie.

Bohaterką tego filmu jest góralska dziewczynka — 3-letnia Marzenka, również... autorka scenariusza. „To nie żart — mówi Jadwiga Kędzierzawska — aby film był prawdziwy, musieliśmy działać nie według sztywnego scenariusza, ale inspirować zachowanie dziecka, podrzucać mu niejako rekwizyty i rejestrować, co z tego wyniknie. W tym też sensie mała Marzenka zmieniła nam scenariusz, postępując w myśl własnych dziecięcych reakcji".

JÓZEF ARKUSZ

Pracuje w łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych i chyba ten rodzaj twórczości najbardziej odpowiada jego reżyserskiej pasji. Bo Józef Arkusz realizuje filmy, które uczą — jest swego rodzaju popularyzatorem wiedzy o otaczającym nas świecie.

Brązowy Lajkonik, który przypadł mu w udziale na ostatnim krakowskim festiwalu za film o niezbyt efektownym tytule „Od rudy do stali" — był nagrodą właśnie za nieprzeciętne walory oświatowe, poznawcze tego pięknego w swej prostocie filmu.

Józef Arkusz w WFO pracuje od 1952 roku — zrealizował ponad 20 filmów naukowych z dziedziny biologii i metalurgii. Dodajmy zresztą, że reżyser studiował pedagogikę i biologię na poznańskim uniwersytecie. Do pracy w filmie przyszedł zatem jako twórca który w interesującej go dziedzinie ma naprawdę wiele do powiedzenia.

Nic zatem dziwnego, że film J. Arkusza „Czynności serca" uznany został niedawno na pokazie w Montrealu, jako najwybitniejszy film naukowy. Twórca ma zresztą na swym koncie cały szereg nagród, wyróżnień i dyplomów honorowych za filmy naukowe. Dziś śmiało można o nim powiedzieć, że w tej trudnej dziedzinie jaką jest film naukowy — Józef Arkusz jest światową sławą.

STEFAN SCHABENBECK

Właściwie ma za sobą zaledwie trzy filmy, ale też w wieku 28 lat trudno mieć większy dorobek, zwłaszcza w dziedzinie tak trudnej i wymagającej całego skomplikowanego aparatu jak film.

Stefan Schabenbeck zrealizował takie filmy animowane jak „Wszystko jest liczbą", „Schody", „Wykrzyknik" — i zdążył już zebrać za nie nagrody w Oberhausen, San Francisco, w Hiszpanii, a ostatnio w Krakowie na Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych.

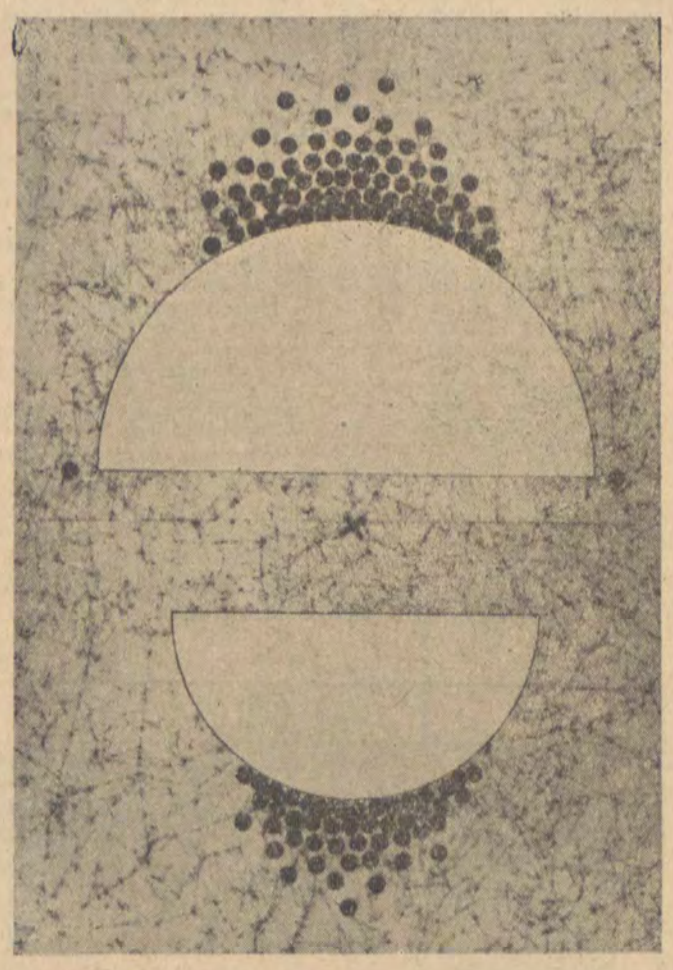

Kadr z filmu „Wykrzyknik" Scenariusz: Stefan Schabenbeck i Henryk Ryszka

Młody reżyser jest w swoich filmach bardziej może poetą i filozofem niż filmowcem. Jego krótkie, urocze filmiki są właściwie metafora, mówią o trudnościach porozumienia między ludźmi, operują skrótem myślowym i skrótem plastycznym...

Ot, choćby realizowany obecnie film „Susza". Płaszczyzna spękanej ziemi ginąca gdzieś za horyzontem. Maleńcy, zagubieni w tej równinie ludzie, próbują przerzucać mosty nad pęknięciami ziemskiej skorupy. Idzie im to mozolnie, ale w końcu udaje się połączenie dwu wysepek.

Wymowa tego filmu, choć rozgrywa się on w smutnej scenerii rodem z rysunków Topora, jest więc optymistyczna. O Schabenbecku można powiedzieć, że nie ma sobie równego wśród twórców filmów animowanych. Choć zrealizował dopiero trzy filmy, choć niedawno skończył PWSF, reprezentuje w swoich poematach na celuloidowej taśmie dojrzałość i głębokie zrozumienie ludzkich losów.

ANDRZEJ BRZOZOWSKI

Wystartował stosunkowo niedawno, bo w roku 1966, filmem „To jest jajko", będącym opowieścią o poznawaniu świata przez dzieci niewidome. Szkołę Filmową ukończył jednak Brzozowski w roku 1955 — przez te lata, do debiutu, współpracował m. in. z Munkiem i Kawalerowiczem („Popioły", „Pasażerka"), a więc szkołę artystycznego rzemiosła przeszedł dobrą.

Andrzej Brzozowski jest dokumentalista z nerwem — ma zresztą świetne pomysły do swoich filmów. Przykładem choćby film o stenografach sejmowych, którzy notowali przemówienia mężów stanu na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Na przykładzie pracy sejmowego stenografa, Brzozowski pokazuje w swoim filmie węzłowe problemy na przestrzeni ładnego kawałka polskiej historii.

Albo inny film, o jakim myśli młody reżyser. Otóż chce zrealizować film o... pożarach, o paleniu — Reichstagu, książek, ludzi wreszcie. Wstrząsający, tragiczny dokument naszej epoki, w której ogień będzie wspólnym mianownikiem.

Oprócz nagrody za najlepszy film oświatowy na krakowskim festiwalu, Andrzej Brzozowski zbierał laury w Oberhausen, Edynburgu, San Francisco, Cordobie, La Felgera. Za parę tygodni, w sierpniu bieżącego roku, rozpoczyna realizację filmu o wrocławskiej pantomimie. A więc nie tylko polityka i historia, ale także teatr, notuje Brzozowski w swoich dokumentach filmowych.

Kadr z filmu „Małe smutki" reż. Jadwigi Kędzierzawskiej

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Na trzecie, po „Prawdzie" i „Alphaville", spotkanie z Godardem zaproponowano nam jedną z klasycznych już pozycji francuskiego repertuaru „nowofalowego" — „Kobieta jest kobietą".

Anegdota fabularna filmu jest nader stereotypowa, wywodząca się wprost z francuskiej komedii bulwarowej.

Otóż młoda tancerka kabaretowa (Anna Karina) pragnie mieć dziecko, sprzeciwia się temu jej przyjaciel (Jean-Claude Brialy). Jest, oczywiście, i przyjaciel domu (Jean-Paul Belmondo), prawdziwy paryski voyou, który gotów jest dopomóc dziewczynie w zaspokojeniu jej kaprysu, na co zresztą uzyskuje zgodę partnera dziewczyny. Sytuację komplikuje nieco fakt, iż ona sama pragnie, aby właśnie jej ukochany był ojcem dziecka.

Na kanwie tej błahej historyjki improwizuje Godard swój osobliwy pastiche — film bowiem stanowi istny kontredans cytatów i zapożyczeń z twórczości dawnych mistrzów filmowych oraz współczesnych Godardowi reżyserów francuskich.

Krytyka sporządziła dość skrzętny rejestr twórców filmowych, do których dzieł sięgnął Godard, konstruując swój utwór. A więc Rene Clair, Lubitch, Max Ophüls, Gene Kelly, a z rówieśników reżysera Truffaut, Varda, Demy. Nie darowano Godardowi nawet pomysłu fabularnego, który przypisano de Broce lub autorowi komedyjki, granej wówczas w paryskim Grand Guignolu — „Fait moi un enfant". Godard, posługując się techniką collage'u, czyli łączenia w jednym dziele dowolnych wycinków rzeczywistości, przygotował widzom osobliwą wycieczkę po kartach historii kina.

Dotąd mówiło się o collage'u przede wszystkim z okazji malarstwa. Godard, szalony zwiadowca X muzy, przyswoił tę twórczą metodę filmowi. Mimo banalności historyjki, językiem kompilującego różne style, udało się reżyserowi przepoić swój film autentyczną atmosferą Paryża, realiami jego życia.

Metoda zdjęć z ukrytej kamery przynosi obraz paryskiej ulicy, zaaferowanych twarzy przechodniów, reklam sklepowych wystaw, kawiarni i magazynów, nadając historyjce walor autentyzmu. Tym większego, że Godard lansuje typ aktorstwa akreacyjnego i każdy z aktorów gra samego siebie, stara się być dokładnie taki jak w życiu. Godard posiada poza tym finezyjne wręcz opanowanie warsztatu i ogromne wyczucie możliwości obrazu filmowego, narracje prowadzi błyskotliwie i dowcipnie. To zupełnie dosyć, aby zagwarantować znakomitą zabawę i kawał dobrego współczesnego kina.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Współpraca Williama Szekspira i Orsona Wellesa trwa już ponad trzydzieści lat, od tylu bowiem lat Welles inscenizuje, reżyseruje i gra Szekspira w teatrze i w filmie.

Powstałe dzieła stanowią nowe, współczesne propozycje odczytania Szekspira, zarówno w płaszczyźnie psychologicznej, jak filozoficznej. W 1964 roku, niejako wspólnie z Szekspirem napisał Welles scenariusz filmowy pt. „Dzwony o północy", w Polsce film ten nosi tytuł „Falstaff". Z pięciu sztuk — „Henryka IV", części 1 i 2, „Henryka V", „Ryszarda III", „Wesołych kumoszek z Windsoru", zaanektował Welles całą wiedzę o średniowiecznym rycerzu-rozbójniku, Falstaffie.

Jest on facecjonistą, krzykaczem, lubieżnikiem, tchórzem i kłamcą, jednocześnie zaś prostodusznym filozofem, konstruującym swój świat, swoją etykę na podobieństwo sienkiewiczowskiego Kalego, który twierdził, iż „Dobro jest wtedy, gdy Kali zjeść krowę sąsiada. Zło zaś, gdy sąsiad zjeść krowę Kalego". Lecz Falstaff jest na swój osobliwy sposób, wysoce etyczny i zdrada królewskiego przyjaciela staje się przyczyną jego wielkiego dramatu. Kpiarz i koncepciarz okazuje się być naturą ponad miarę wrażliwą i subtelną, a jego tragedia głęboko ludzka i tym bardziej dotkliwa, im mocniej cieszył się on z nominacji przyjaciela, im więcej nadziei wiązał ze spełnieniem się swego Wielkiego Losu.

Wellesowski Falstaff w całym swym wewnętrznym skomplikowaniu jest postacią bogatą i pełną, naturą bujną i nieposkromioną na kształt bohaterów Rabelais'ego. Jest wspaniały jak wspaniała jest jego epoka, 15-wieczna Merry England, Wesoła Anglia, Anglia, której rozrywka były krwawe ballady, rozpasane zabawy w karczmach i rycerskich salach, egzekucje opryszków i czarownic. Lecz i Anglia, już świadoma nowych porządków, opartych na despotycznej władzy Lancasterów wewnątrz państwa i ekspansywnej polityce zagranicznej (vide: wojna Stuletnia).

Dla zarejestrowania dialektyki angielskiej państwowości wybrał Welles osobliwą, świadomie eklektyczną formułę estetyczną filmu, łączącą elementy języka filmowego i teatralnego. Fragmenty, obrazujące Falstaffowe perypetie, to epicka wizja, szeroka i wieloaspektowa, opowiadana językiem par excellence filmowym.

Welles eksponuje tu efekty artystyczne, którymi tak skutecznie posługiwał się w „Obywatelu Kane" — technika kompozycyjna, zwana głębią ostrości, tzw. widzeniem subiektywnym, twórczo wykorzystuje montaż filmowy, zarówno w jego wydaniu międzykadrowym jak i wewnątrzujęciowym. Watek „królewski" komponuje Welles — reżyser teatralny, a bezkonfliktowe zestawienie obu estetyk, implikowane przyczynami natury głębszej, filozoficznej i artystycznej, to następny dowód geniuszu Wellesa.

E. I.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MEFISTOFELES SZALAPINA

■ Leningradzki psycholog Władimir Drankow w swojej książce pt. „O istocie talentu" zestawił twórczość Puszkina, Lermontowa i rosyjskiego słynnego śpie

waka Szalapina z ich rysunkami odkrywając ciekawe współzależności.

W 5-tym numerze radzieckiego magazynu „Sputnik" znajdujemy fragmenty książki Drankowa odnoszące się do

Rysunek z 1919 r.

twórczości Fiodora I. Szalapina i kreowania przez wielkiego śpiewaka postaci Mefistofelesa w operze Gounoda „Faust".

Duch wiecznego przeczenia, Mefistofeles, przez długie lata zajmował uwagę Szalapina. Śpiewak wytrwale badał legendy i najrozmaitsze opracowania i ujęcia literackie doktora Fausta, wczuwał się w tekst Goethego, by móc najwłaściwiej przedstawić na scenie straszliwego przybysza z zaświatów. Częstokroć Szalapin chwyta za ołówek lub

Rok 1914. Rysunek Mefistofelesa wykonany przez Szalapina i Szalapin na scenie w roli Mefistofelesa.

pióro, szkicując wyobrażenie postaci Mefistofelesa, by potem według takiego rysunku przybrać na scenie jego postać. Zależnie od wzorów, które studiował i własnych przeżyć, koncepcja Mefistofelesa w w kreacjach Szalapina ulega nieraz bardzo zasadniczym metamorfozom

Z początku Mefistofeles Szalapina jest piękny, ma w sobie elementy klasycznego bożka, jakiego jakiego wyobrażał sobie Anatol France badający stare legendy.

W roku 1895 w wyobraźni Szalapina Mefistofeles pozostaje wesołym, zarozumiałym chłopcem, śpiewającym miłosne serenady. Rysunki z tego okresu są jednak pełne skreśleń i poprawek, zdradzają poszukiwanie innych ujęć obrazujących w sposób pogłębiony postać ducha wiecznego zła.

W roku 1914 Szalapino wi rysunek udaje się znacznie bardziej, ale jego Mefistofeles nabiera cech sceptyka i cynika, by w dalszej ewolucji, w latach późniejszych coraz bardziej przybierać postać wcielenia samego Zła, nienawistnego ducha, istoty odczłowieczonej i demonicznej. Gdy oglądamy rysunek Mefistofelesa wykonany w roku 1919 rysy przypominać będą rzeźbę Antokolskiego, ale Szalapin poszukiwać teraz będzie innego wyrazu. W twarzy Mefistofelesa rysuje się coś zwierzęcego, coś z antycznego satyra i diabła z ludowych przypowiastek, a równocześnie w rysach tych dostrzec można jakiś swoisty wyraz nieszczęścia.

Szalapin w roli Mefistofelesa w r. 1895.

W 70-TĄ ROCZNICĘ URODZIN MAXA GUBLERA

■ „Max Gubler należy do największych malarzy dwudziestego wieku. Jest największym malarzem w dziedzinie nowego szwajcarskiego ma

„Max Gubler: Portret Gotthарda Jedlicki.

larstwa..." — pisał w swoim czasie, zachwycony twórczością tego artysty, jego serdeczny przyjaciel, historyk sztuki Gotthard Jedlicka.

„Neue Zurcher Zeitung" w 70-tą rocznicę urodzin Maxa Gublera drukuje o nim obszerne fragmenty monografii, jaką pozostawił zmarły w roku 1965 Jedlicka.

Max Gubler urodził się 26 maja 1898 roku w Zurychu. W czasie pierwszej wojny światowej był uczniem seminarium nauczycielskiego, opuścił jednak uczelnię poświecając się studiom malarskim. W latach 1923 — 1927 kształci się na wyspie Lipari. W roku 1930 wyjeżdża do Paryża, by po siedmioletnim tam pobycie wrócić do rodzinnej Szwajcarii. Wśród wspomnień o przyjacielu malarzu Jedlicka pisze o wielkiej pasji Maxa Gublera — [illegible]. Toteż nie przypadkiem lektura opowiadania Hemingwaya „Stary człowiek i morze" zrobiła na malarzu wstrząsające wrażenie. Max Gubler tworzy kolorowe ilustracje do tego opowiadania, a pracuje w jakimś specjalnym podnieceniu i twórczym natchnieniu. Praca trwa całymi miesiącami. Wreszcie któregoś dnia wzywa swego przyjaciela Jedlicka, aby mu pokazać swe dzieła. „W niewielkiej jadalni — pisze Jedlicka — stały jedne za drugimi sześć, lub siedem albo osiem, wielkie teczki wypełnione rysunkami". Inne rysunki leżały na podłodze, komodzie, tapczanie. Były to ilustracje do opowiadania „Stary człowiek i morze". Teraz Jedlicka pomógł Gublerowi odpowiednio uporządkować rysunki w teczkach i poukładać teczki. Jedna z nich, jak pisze Jedlicka, zawędrowała później do Stanów Zjednoczonych. Tam to mógł ją zobaczyć sam Hemingway.

GŁOS TURECKIEGO PIEŚNIARZA NA PŁYCIE

■ Po raz pierwszy nagrano na płytę gramofonową głos ludowego pieśniarza Turcji Ruchi Su, który od lat zbiera i sam śpiewa ludowe pieśni. Przez długie lata Ruchi Su, znany ze swych postępowych poglądów, nie mógł nigdzie występować publicznie. Ukazanie się płyt z nagraniami śpiewu Ruchi Su traktowane jest w stambulskich kręgach literackich i muzycznych jako ważne wydarzenie w kulturalnym życiu Turcji.

MILIONOWE NAKŁADY W 35 JĘZYKACH

■ Radzieckie wydawnictwo Progress wypuszcza na rynek księgarski rocznie 1000 tytułów książek o łącznym nakładzie 20 milionów egzemplarzy. Dzieła polityczne, książki o Związku Radzieckim i jego ludziach, dzieła klasycznej literatury rosyjskiej oraz autorów współczesnych, fotoalbumy, podręczniki itd., ukazują się w tym wydawnictwie w 35 językach, a książki eksportowane są do 92 krajów.

RZEŹBA I NEON

■ W Neapolu odbyła się wielka wystawa rzeźbiarzy Południowej Italii. Na zdjęciu praca

młodego rzeźbiarza Valdo Diodato „Dziewczyna idąca wieczorem przez miasto". Kontury rzeźby zostały obwiedzione jarzącymi się rurkami

ENCYKLOPEDIA MUZYCZNA

■ Wielotomowa encyklopedia muzyczna przygotowywana jest w ZSRR. Pierwszy tom ukazać ma się w roku 1969, a ostatni w roku 1972. Będzie to pierwsza w Związku Radzieckim obszerna publikacja tego rodzaju.

„24 GODZINY Z ŻYCIA KOBIETY"

■ Przy współpracy francusko-niemieckiej reżyser Dominique Delouche kręci film na podstawie znanego opowiadania Stefana Zweiga pt. „24 godziny z życia kobiety". Główną rolę zagra Danielle Darrieux

ARCHEOLOGICZNE ODKRYCIA NA CZUKOTCE

■ Archeologiczne wykopaliska na Czukotce dowodzą, że przodkowie Eskimosów przebywali tu 2.000 lat temu. Zebrano bogatą kolekcję przedmiotów codziennego użytku.

PANI DE STAEL W SZWAJCARSKIEJ TELEWIZJI

■ O najwybitniejszej kobiecie swego czasu pani Germaine Necker de Stael-Holstein, słynnej pisarce, wieloletniej przyjaciółce Benjamina Con-

stanta, szwajcarska TV zorganizowała spektakl na podstawie miłosnych listów, jakie Madame de Stael pozostawiła po sobie.

spektakle tygodnia

	ektakle	widzów	%
TEATR WIELKI			
„Pan Twardowski"	1	1276	100
„Rigoletto"	1	1276	100
„Halka"	3	3828	100
„Książ Igor"	1	1276	100
„Zemsta nietoperza"	1	1276	100
POWSZECHNY			
„Baba—Dziwo"	1	600	90
„Kawior i kaszanka"	2	1200	90
NOWY			
„Trzy białe strzały"	2	1000	75
„Damy i huzary"	3	1700	90
MAŁA SALA			
„Gra miłości i przypadku"	3	500	80
JARACZA			
„Niemcy"	4	2528	100
7,15			
„Bliźniak"	5	1750	83
OPERETKA			
„Dziękuję ci, Ewo"	6	5400	81
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ			
„Pan Puntila i jego sługa Matti"	5	1210	85
„Aszantka"	5	1144	80

TP OBIEKTYW

PAUSTOWSKI I GROCHOWIAK

Stanisław Grochowiak przedstawił 3 czerwca w Teatrze TV swe widowisko „Nokturn", napisane specjalnie dla telewizji na motywach opowiadania Konstantego Paustowskiego „Deszczowy przedświt". Widowisko, które reżyserował Tadeusz Jaworski, otrzymało doborową obsadę aktorską w osobach Aleksandry Śląskiej i Stanisława Zaczyka w rolach głównych. Drugoplanowe postacie znalazły znakomitych odtwórców w Stanisławie Perzanowskiej i Tadeuszu Fijewskim.

Ale nie od kształtu telewizyjnego „Nokturnu" chciałbym zacząć. Frapujący jest stosunek Grochowiaka do pierwowzoru, relacja między tekstem przeznaczonym dla ekranu i refleksyjno-epicką nowelą Paustowskiego. Nie mamy tu bowiem do czynienia z prostą adaptacją.

Paustowski należy do bardzo popularnych w Polsce pisarzy radzieckich. Jest poetą nastroju, mającym rzadką zdolność uchwalania maleńkiego rąbka życia swoich bohaterów w taki sposób, że na niewielu kartkach — nowela „Deszczowy przedświt" liczy sobie na przykład piętnaście stron druku — odsłaniają się przed czytelnikiem w sposób klarowny ludzkie dramaty, kompleksy, niespełnione pragnienia.

Decyduje o tym odpowiednio skomponowana sytuacja wyjściowa, której mechanizm transmituje do nas subtelne i złożone prawdy o człowieku. W „Deszczowym przedświcie" major Kuźmin przybywa do nadwołżańskiego miasteczka Nawołoki, by przekazać list żonie oficera Baszyłowa, z którym leżał razem w szpitalu w Polsce. Żonie, albo i nie-żonie. Baszyłowie rozeszli się, jak należy domniemywać, już dawno

Atmosfera domu Olgi, utkana przez pisarza wśród nocy, deszczu i mgły z paru charakterystycznych szczegółów, wyzwala z Kuźmina, czterdziestoletniego samotnika, tęsknotę za posiadaniem własnego domu. Reszty dokonuje samo ukazanie się Olgi.

Niemal bez wstępu, gdy Olga, odkłada nie otwarty list Baszyłowa, Kuźmin zaczyna mówić. Uczucia swoje przekłada na język przenośni:

„Z okna wagonu zobaczycie nagle polanę w brzozowym lesie; zobaczycie, jak jesienna pajęczyna zabłyśnie w słońcu, i zapragniecie wyskoczyć w biegu z pociągu i pozostać na tej polanie. Ale pociąg będzi dalej". (przekł. J. Jędrzejewicza).

Właśnie, pociąg pędzi dalej! Od strony rzeki dobiega dźwięk syreny parostatku. Kuźmin musi wracać. Olga sprowadza go do przystani po stromej skarpie i zostaje sama na brzegu, patrząc za odpływającym statkiem. Kuźmin pozdrawia ją ręką. Olga trwa w bezruchu...

Oto cała kanwa, na której Grochowiak zbudował swoje widowisko. Kanalik, którym u Paustowskiego sączy się strumyk prawdy o egzystencji ludzkiej, był dla potrzeb spektaklu telewizyjnego nie dość nośny. Grochowiak modyfikuje sytuacje bohaterów, uzupełnia pewnymi szczegółami, z innych świadomie rezygnuje. Buduje w ten sposób motywację psychologiczną dla Olgi, którą Paustowski pozostawia w bezkonturowym szkicu i w stanie bierności.

U Grochowiaka odwrotnie. Biernie poddającym się nastrojowi jest Kuźmin. Wizja ustabilizowanego życia wsysa go powoli. Wszystko w Nawołokach nastrojone jest jakby na nutę współbrzmiąca z tęsknotą Kuźmina. Filozofujący dorożkarz Timofiej, niby antyczny Charon, wiezie go ku temu zaczarowanemu światu marzeń. Gospodyni Olgi, Marfa, przyjmuje go, jakby na niego (właśnie na niego, nie na mężczyznę w ogóle!) w tym domu czekano. Każe mu zdjąć przemoczone buty i włożyć ciepłe papucie. W tych papuciach uprzedmiotowiona jest owa cicha przystań, o której marzy skołatany wędrowiec.

I wreszcie Olga. Jej ukazanie się udowadnia, że wszystko co dotąd spotkało Kuźmina w Nawołokach to dopiero preludium. W niej personifikuje się marzenie przybysza. Wabi go ona jak rusałka i każe zapomnieć o realnym życiu. Jest w niej baśniowe oczekiwanie i baśniowe spełnienie.

Ale baśnie mają to do siebie, że się kończą. Bicie zegara powoduje zniknięcie Kopciuszka. Tu głos syreny budzi Kuźmina ze snu. Otarcie się o złudny pozór szczęścia musi mu wystarczyć na dalszą drogę życia. Ale czy to nie bardzo wiele? Czy otarcie się o szczęście nie jest szczęściem samo w sobie?

Tymi niemymi zapytaniami kończy Grochowiak swój „Nokturn", w którym nastrojowość Paustowskiego wzbogacił o baśniową metaforę i poetycką zadumę nad ludzkim losem. Choć oparł się o szkielet fabularny „Deszczowego przedświtu" i wykorzystał jego nastrój, stworzył utwór własny i tchnął weń własne treści.

Realizatorzy „Nokturnu" (obok Jaworskiego — autor zdjęć filmowych Kurt Weber i reżyser TV Joanna Wiśniewska) zaprezentowali nam widowisko złożone z dwóch warstw fakturalnych i stąd niezbyt spójne. Wprawdzie słaby poziom telerekordingowego zapisu rozmydlił obraz w scenach rozgrywanych w studio i przybliżył go do faktury partii filmowanych w plenerze, ale nie o taką przecież spójność chodzi. Obraz filmowy przyjmujemy z reguły jako czas przeszły, obraz ze studia TV przywykliśmy uważać za akcję rodzącą się na naszych oczach. Inne jest również aktorstwo filmowe, podlegające montażowemu „czyszczeniu" a inne studyjne, gdzie widz jest świadkiem żywej, nie spreparowanej kreacji aktorskiej.

Te szwy znać było w inscenizacji „Nokturnu". Czy wobec tego scenariusz Grochowiaka nie powinien być realizowany raczej jako film telewizyjny?

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

ROMAN GORZELSKI

„KRYMINAŁ"

Niedawno spotkałem mojego przyjaciela — intelektualistę. Szedł szybko ulicą i, zdziwiło mnie to, tym razem trochę niechętnie przystanął na chwilę rozmowy. Oczywiście teraz wiem czym wzbudziłem u niego niepokój, a nawet chęć ucieczki: on nie chciał bym dostrzegł trzymane pod pachą „kryminały" z biblioteki „Kluczyka" i „Jamnika". Albowiem mój przyjaciel ma słabość do tej literatury, ale za nic w świecie się do tej słabości nie przyznaje, a przyparty do muru wyjaśnia kłamiąc naprędce, że te „cegły" niesie dla jednego ze swoich smarkaczy — kuzynów, którzy za tą ogłupiającą lekturą wprost przepadają!

A przypadek ten kojarzy mi się z podobną słabością Anglików, ale tym razem już nie ze słabością ich do kryminałów, które tam wszyscy czytają zupełnie otwarcie i bez żenady, lecz z prawdziwą Anglików słabością do poezji, którą oni zwykli czytywać w odosobnieniu, nawet w ukryciu, aby, broń Boże ktoś ich na tej lekturze nie przyłapał, bo jak wiemy wzruszać się prawdziwemu synowi Albionu nie przystoi, a jeśli już coś podobnego się przydarzy to jest to uważane za pewien rodzaj wstydliwej choroby i tym samym zasługuje na pełną naganę, a nawet pogardę. Innymi słowy mówiąc, co kraj to obyczaj czyli: wszędzie jest jakieś tabu.

Ostatnimi czasy u nas, powoli wprawdzie ale systematycznie w dziedzinie dreszczowców coś się zaczyna odkreacać. Nie obywa się to bez pomocy rynku, który jest tak chłonny jak wiecznie sucha gabka. I aż dziw bierze, że takiej właśnie literatury nigdzie nie jest za dużo. A jak wiemy, uprawiali ten gatunek prozy nawet najwybitniejsi pisarze! Tu dla przykładu wspomnę pierwsze nazwisko, które mi się nawinęło: Edgar Allan Poe, czy nawet Puszkin mający także w swoim dorobku kilka „nie samowitych" opowiadań.

W tym miejscu przypomniała mi się zabawna historyjka związana z pewnym profesorem z Cambridge. Otóż ten pan przed zadaniem pytań egzaminacyjnych swemu studentowi najpierw przeprowadził z nim małą rozmowę towarzyską i w pewnym momencie spytał:

— Niech mi pan powie, drogi przyjacielu, czy czyta pan „kryminały"?

— Ależ skąd, panie profesorze, przecież szkoda na to czasu!...

— A czy ogląda pan westerny?

— Nie!

— No tak — rzekł profesor z głębokim i smutnym westchnieniem. — Skoro pan nie potrafi odpoczywać, to i uczyć się też pan pewnie nie potrafi...

Naturalnie, zdenerwowany profesor nie omieszkał udowodnić „studentowi — mózgowcowi", że tym razem on ma rację, co zresztą wcale nie było aż tak bardzo trudne. A całą winę za to niepowodzenie studenta ponosił najprawdopodobniej Sherlock Holmes!

A było to tak:

Historia literatury nie zna drugiego takiego przypadku, gdzie stworzony przez autora bohater cieszy się większą sławą niż jego „stwórca". I tak oto znakomity pisarz angielski Conan Doyle (był on także znany jako świetny pisarz historyczny — wymieniany tuż obok Karola Dickensa) pozostał w cieniu jednej z licznych stworzonych przez siebie postaci — Sherlocka Holmesa, który oderwał się od niego, zmaterializował i zaczął żyć własnym życiem. Wspierany sympatią milionów czytelników, zmuszał Conan Doyle'a do opisywania wciąż nowych swoich przygód.

Walka autora z bohaterem ciągnęła się kilka lat aż wreszcie Conan Doyle, zbuntował się i uśmiercił znienawidzonego przez siebie detektywa. Jednak Sherlock Holmes okazał się nie tylko niepokonany, ale i nieśmiertelny. Conan Doyle milczał wiele lat, wreszcie po nieustającej burzy protestów załamał się i za namową wydawców (autor znajdował się wówczas w trudnych warunkach materialnych) wskrzesił Holmesa w książce „Pies Baskervillów".

Sława Holmesa obiegła wszystkie kontynenty i dlatego wielu turystów po przyjeździe do Londynu natychmiast pędzi na Baker Street, aby odszukać dom nr 221 — B. Domyślamy się że są to fanatyczni miłośnicy, a często nawet członkowie licznych klubów i towarzystw zrzeszonych pod wezwaniem Sherlocka Holmesa. A Baker Street, ulica niewielka, położona w zachodniej części Londynu, prostopadła do bardziej ruchliwej, dużo dłuższej, no i oczywiście ładniejszej Oxford Street, niczym się nie wyróżnia, gdyby nie „duch" Sherlocka Holmesa, który już tyle lat podczas mglistych wieczorów, ubrany w kraciastą pelerynę, charakterystyczną czapkę z daszkiem, z nieodłączną fajką w zaciśniętych ustach, idzie w stronę swojego biura. Bo w tym przypadku wystarczy tylko trochę wyobraźni i literackich skojarzeń aby go naprawdę zobaczyć. Ale największa nawet wyobraźnia nie jest w stanie wskrzesić domu nr 221 — B, ponieważ taki dom nigdy nie istniał.

I tutaj dopiero zaczyna się problem nad rozwiązaniem którego głowił się prawie cały sztab holmesologów i z pomocą zgromadzonej faktografii dotyczącej najdrobniejszych szczegółów domu sławnego detektywa, rozpoczął poszukiwania. Spenetrowano dokładnie cała Baker Street i po wielu trudach udało się odnaleźć dom odpowiadający opisom z opowieści Conan Doyle'a, ale był to dom oznaczony numerem 109!

Zresztą sam autor „Psa Baskervillów", który powiedział: — Sherlock Holmes to ja! — spowodował jednocześnie sporo zamieszania wśród swoich czytelników, mówiąc, że nie zna dokładnie Baker Street. Co więcej, oświadczył on, że nawet nie pamięta kiedy ostatni raz był na tej ulicy. Ale tradycja okazała się silniejsza. „Baker Street 221 — B" została powołana do życia, bowiem była ona potrzebna ludziom, którzy nie mogli albo nie chcieli się pogodzić z nieistnieniem domu genialnego detektywa.

I w ten sposób powstała restauracja — muzeum „Sherlock Holmes" na ulicy Northumberland 10. Zgromadzono tu kilkadziesiąt eksponatów dobranych pieczołowicie przez najlepszych znawców utworów Conan Doyle'a. To tutaj ogromny czarny pies Baskervillów szczerzy swoje zęby połyskując fosforyzującymi oczyma. A obok rozwieszono ilustracje książek, rękopisy, fotografie ukazujące tę najpopularniejszą ulicę Londynu z lat dwudziestych. Jest w tym muzeum dokładna kopia poszukiwanego pokoju z ulicy Baker Street 221 — B. Pod ścianą stoi sekretarzyk, półki z książkami, stół, wygodne fotele, a przy oknie zobaczyć można woskową postać samego Sherlocka Holmesa... Jest tu także mapa Europy z oznaczonymi miejscowościami o których Conan Doyle wspomina w swoich mrożących krew w żyłach opowieściach — dreszczowcach. Muzeum to znajduje się w pobliżu sławnego Scotland Yardu — angielskiego biura policji kryminalnej.

Ale nie ma już w Londynie Holmesa. Wyjechał do hrabstwa Sussex i zajął się pszczelarstwem. Stąd chyba kłopoty angielskiej policji, która nie zawsze potrafi wpaść na trop przestępców...

Już w tym roku prawdopodobnie będziemy świadkami ponownej wielkiej uroczystości, jaką przygotowuje Londyńskie Towarzystwo Sherlocka Holmesa, a pretekstem do niej jest sto dziesiąta rocznica urodzin Conan Doyle'a, bo jak za życia tak i po śmierci pisarza „kraciasty" detektyw i tym razem stanie się centralną postacią tego międzynarodowego święta.

W Polsce nie otrzymaliśmy jeszcze pełnego wydania dzieł Conan Doyle'a i chyba w najbliższej przyszłości od naszych wydawnictw nie możemy się tego spodziewać. Zupełnie inaczej ta sprawa wygląda u naszych wschodnich sąsiadów. Wprawdzie i u nich do niedawna z „kryminałem" było nietęgo, ale...

...Rosja, grudzień, 1893 rok. W tym to właśnie czasie czytelnicy pisma „Gwiazda", które wydawał Piotr Spojkin w Petersburgu, spostrzegli na jego stronicach opowiadanie pod niezwykle intrygującym tytułem „Cętkowana banda". I było to pierwsze zetknięcie się rosyjskiego czytelnika z najpopularniejszym bohaterem literackim wszechczasów — Sherlockiem Holmesem. Ale nie od razu ten sympatyczny detektyw zdobył sobie sympatię i przywiązanie Rosjan. Jego przenikanie na wschód Europy odbywało się z wielkimi oporami, bo po pierwszym opowiadaniu zapanowało całoroczne milczenie nim rosyjski czytelnik otrzymał, tym razem już serię opowieści o jego przygodach, i dopiero w 1898 roku został wydany pierwszy zbiór pt. „Zapiski znakomitego detektywa" I ten moment najprawdopodobniej zadecydował o triumfalnym pochodzie Sherlocka Holmesa poprzez rosyjskie wydawnictwa, biblioteki, księgarnie i półki miłośników książek. A sam Sherlock Holmes zaczął powoli z pamięci ludzi rugować wcześniejszych swoich konkurentów: Guliwera, Robinsona Cruzoe i Pickwicka. A wydawcy w mig zorientowali się jak wielką kopalnią złota jest ten cykl przygodowy przez Conan Doyle'a spisany, toteż niemalże nazajutrz po ukazaniu się oryginału — drukowany był przekład rosyjski. Co więcej, nawet możliwości niezwykle płodnego autora przerosła chłonność rosyjskiego rynku czytelniczego. Bo np. tylko powieść „Pies Baskervillów" od roku 1902 do 1917 miała 28 wydań, nie licząc oczywiście publikacji prasowych.

Ale, jak wiemy, ocena czytelników nie zawsze idzie w parze z wartościowaniem utworu literackiego przez zawodowych krytyków, którzy siedząc wysoko na stworzonym przez siebie parnasie — miewają absolutnie odmienne propozycje wydawnicze. A popularny Sherlock Holmes także popadł w niełaskę niepopularnych i prawie zupełnie zapoznanych krytyków. Bo oto jeden z nich, tonąc w powodzi conandoyle'owskiej literatury, krzyczy:

„Czy naprawdę aż tak biedna jest współczesna literatura angielska, że nie ma w niej nic bardziej godnego przekładu oprócz Conan Doyle'a?"

„Protest przeciwko szarzyźnie życia codziennego, ucieczka od wielkiego smutku" — tak twórczość Conan Doyle'a oceniali inni krytycy carskiej Rosji.

Ale na szczęście znalazły się też rozsądne i autorytatywne głosy rosyjskiej krytyki na temat twórczości Conan Doyle'a: recenzje J. Wesołowskiego oraz W. Szkłowskiego, ze znajomością rzeczy ukazujące mocne i słabe strony tego pisarza.

Nie ustrzegł się w Rosji Conan Doyle falsyfikatów, które dość często zapełniały szpalty czasopism. Nie umniejszało to jednak rangi pisarskiej znanego Anglika, wyolbrzymiając jednocześnie jego popularność.

Pierwsza edycja „Pełnych dzieł zebranych" Arthura Conan Doyle'a miała miejsce w Rosji 55 lat temu. Od tego czasu zarówno w Rosji, jak i potem po rewolucji w Związku Radzieckim utwory tego cenionego pisarza wydawane były wielokrotnie w przekładzie (co jest niezmiernie ważne i chyba najwymowniej świadczy o tym, jaką wartość ma obecnie Conan Doyle dla współczesnego czytelnika radzieckiego) najlepszych tłumaczy!

A ostatnio (w 1966 roku) znów w ZSRR ukazały się w masowym nakładzie bardzo starannie wydane Arthura Conan Doyle'a „Dzieła wszystkie", które oprócz przygód Sherlocka Holmesa zawierają także opowiadania historyczne, opowieści medyczne, fantastyczne oraz wczesne opowiadania kryminalne.

Właśnie trzymam w ręku jeden z tomów tego wydania. Wziąłem go z półki moich kijowskich przyjaciół, na której książki Conan Doyle'a stoją obok najwybitniejszych klasyków literatury światowej. Bo chyba zupełnie słusznie należy mu się to miejsce, którego odmawiają mu niektórzy puryści literaccy, a którzy prawdopodobnie sami gdzieś w odosobnieniu rozczytują się w tępionych oficjalnie „kryminałach".

Z TEKI Ł.T.F. Fot. Z. Hałatek

Lewym okiem

DAMKA POD MONIUSZKĄ

Przed pierwszą wojną światową wychodziła w Łodzi codzienna gazeta w języku niemieckim „Neue Lodzer Zeitung". Felietonistką tego dziennika była niejaka Frau Berta Teplitzky, która następnie, w roku 1913, wydała swe felietony w zbiorku pt. „Lodzer Typen".

Nie wyróżniają się one niczym szczególnym, ale zawierają przecież jakąś prawdę o charakterystycznych typach ludzkich, zamieszkujących wówczas nasze miasto. Wspominam o tym, mijając nowy, chociaż z nazwy „Staromiejski" park, którego ławki obstąpili tłumnie kibice, śledzący rozgrywane tu pod kasztanami zmagania warcabowe. Wspominam i myślę — jakie by też charakterystyczne typy dało się wyróżnić w dzisiejszej Łodzi? Jakieś specyficzne dla miasta i epoki, niepowtarzalne, łódzkie?

Tamci z 1913 roku odeszli w przeszłość. Nie ma już „Komiwojażera", ani „Maklera mieszkaniowego", ani „Gratulantów noworocznych" — o których pisała pani Teplitzky. Nie mogłaby już dzisiaj napisać rozdziału „W teatrze ogródkowym", bo nie ma takich teatrów, ani rozdziału „Altruistka", bo nie ma altruistek, ani rozdziału „Dama modna", bo nie ma dam niemodnych. Wtedy, przed pięćdziesięciu paru laty, można było narysować niewielu dziesiątkami zdań ostrą, wyraźną, typową sylwetkę „stróża" (w omawianej książeczce nazywa go się: Der Strusch...). Słomianego wdowca, Panienki, Człowieka interesu, Korepetytora, Wróżki i Księżniczki dolarowej. A dziś?

Gdybym chciał pokusić się o taką próbę typologii, to zacząłbym właśnie od tych warcabistów spod staromodnych kasztanów. Zresztą nie tylko stamtąd. Te same obrazki zobaczycie w parku kolejowym przed Dworcem Fabrycznym i w Parku Źródliska na Widzewie: dwóch panów, niekoniecznie starszych, siedzi na ławce w niewygodnych, skręconych pozycjach, między nimi leży brudna szachownica i ledwie się od siebie różniące barwą, wysłużone kamienie warcabów. Tak na pięciu, ośmiu, dziesięciu ławkach. A dokoła każdej takiej pary — milczący, kilkunastoosobowy tłumek. Sami mężczyźni. Wiek przeróżny, kondycja raczej bardzo skromna. Właściwie nie wiadomo po co stoją. Warcaby — zwane tutaj zresztą „Damką" — są przecież grą o bardzo ograniczonej liczbie możliwości, wielkiej strategii ani nie wymagają, ani nie dopuszczają; kibice stoją jednak godzinami, śledzą dziesiątki partii, prawie się od siebie nie różniących, śledzą — a może nawet cały czas myślą o czymś zupełnie innym. Są skupieni, milczący, poważni. Są czymś jedynym w swoim rodzaju — nie spotkacie ich nigdzie poza Łodzią.

Strasznie mi się to podoba. Nikt tego nie organizował. Nie było „koncepcji", planów, preliminarzy, instruktorów, nie było wytycznych, nie ma sprawozdań. Zarżnięte oschłą programowością, biurokracją, działactwem, sztampą, pompą, pupą — świecą pustkami lokale tłuż świetlic, klubów i klubo-kawiarni. Stary murarz — rencista i kulawy szewc — prywaciarz nie pójdą tam, wolą ławeczkę pod pomnikiem Moniuszki. Niech socjologowie zbadają przyczyny. Niech etnograf opisze „damkarstwo" łódzkie jako autentyczny tutejszy folklor. I nie daj Boże, żeby ktoś poza opisaniem zjawiska chciał się zabrać do „ujmowania go w ramy" i do instytucjonalizowania. Pozwólmy grać, to ładne, to jedna z niewielu spontanicznych form spędzania wolnego czasu, niezwiązana z konsumpcją alkoholu!

A zaraz za damkarzami — stare kobiety. Bardzo wczesne godziny ranne na ulicach Łodzi należą do starych kobiet! To one stoją w kolejkach przed zamkniętymi sklepami i przed zamkniętymi ośrodkami zdrowia. To one niosą w siatkach butelki z mlekiem i bochny gorącego chleba. Spracowane, schylone, źle ubrane, ciężko dźwigające swoje lata i swoje nogi, a tak poważnie traktujące nadal swoje rodzinne obowiązki, jak nigdzie poza Łodzią. Tutaj w robotniczych domach, babcia nie „miga się" od roboty. Sama prowadzi całe gospodarstwo, bawi dzieci, czyni zakupy, gotuje obiady. Żeby sprostać swym bardzo wymagającym podopiecznym — woli na wszelki wypadek stanąć już o piątej przed rzeźnikiem — a nuż potem czegoś tam zabraknie? Żeby nie uchybić żadnemu z tysiąca nieprzejrzanych przepisów — woli na wszelki wypadek „zająć kolejkę" do lekarza na długo przed otwarciem okienka; odsiedzieć osiem godzin w korytarzu, a nie spóźnić się ani minuty. No i naturalnie — pogadać w tym korytarzu ze znajomymi kumami z tej samej ulicy, o tym co boli, co kłuje, rwie, dźga i piecze w gardle! Też forma towarzyskiego spędzania czasu, skoro na inne już nie stać...

Jakby dobrze pomyśleć i poszukać — niejeden jeszcze łódzki specyfik nawinąłby się pod pióro. A może i pod ołówek? Może znajdzie się jakiś nasz własny Kostrzewski, nasz Kondek, który by oprócz domów i ulic zainteresował się także ich mieszkańcami?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmuje wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź Żwirki 17 Zam 1752. VI. 1968. P-13.